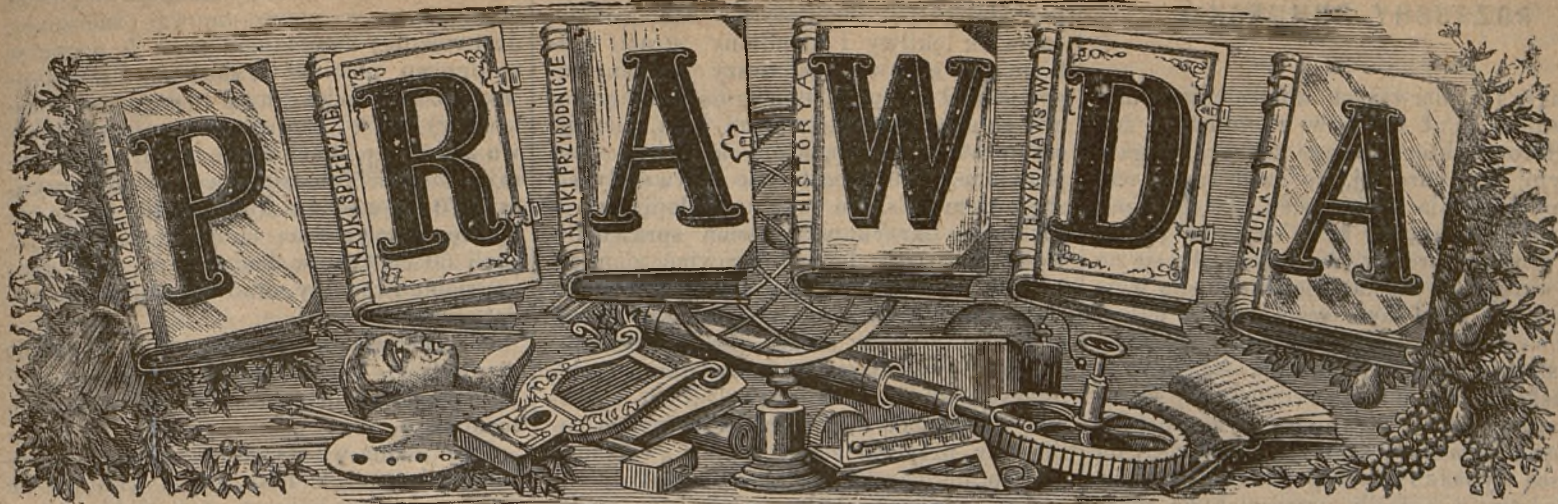
№ 19. Warszawa, dnia 12 Maja (30 Kwietnia) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DYPLOMACYA WATYKAŃSKA.

Wędrówka pielgrzymów miała na celu nietylko złożenie jubileuszowego hołdu Leonowi XIII. Niewątpliwie jej przywódcom szło także o wywarcie pewnego wpływu na papieża i wskazanie mu — że tak powiemy — politycznych potrzeb kościoła w chwili, kiedy gotował się do nowych układów. Czy na te układy oddziałała owa wyprawa, czy one rozdarły się o jakąś inną przeszkodę, czy znowu się nie zszyją, powiedzieć by mogły tylko blizkie pierścienie watykańskiego Saturna, do których my nie należymy. Widzimy tylko, że jakieś nożyce przecięły robotę, zanim ona dobiegła do końca i że Leon XIII zrobił nagły zwrot w swej „ojcowskiej“ dyplomacyi. Odpowiedź bowiem, jaką udzielił pielgrzymom, odbiega znacznie od tego kierunku, w jakim płynęły pogloski, doniesienia pism europejskich, a nawet papieskich. Jest to wielce pożałowania godnem, że prasa klerykalna, pod przewodem *Czasu* krakowskiego, w tłomaczeniu polskiem tych słów zmieniła lub wzmocniła ich znaczenie w duchu miłości „ojca św.“ dla swych „ukochanych synów,“ których on wcale tem mianem nie uraczył. Dowolność tego przekładu dała *Dziennikowi warsz.* powód do przygany i uwag, na które nie należało narażać się i zasługiwać, tem bardziej, że wobec jednoczesnego ogłoszenia dwu tekstów — łacińskiego i polskiego — ich różnica na jaw wyjść musiała. Nie jest ona znaczną, ale jest niepotrzebną i uwłaczającą o tyle, że gwałci serce papieża do uczuć, do których on wcale się nie przyznaje.

Polityczną zaprawą jego przemowy jest oświadczenie, że Stolica apostolska chętnie przyzwala, ażeby pojedyncze narody strzegły i przechowywały uprawnione tradycye i przekazane im od przodków obyczaje. Gdyby Leon XIII miał naturę Piusa IX, gdyby był człowiekiem szczerym, kapłanem niepolitykującym, słowa te nie wyrażałyby niczego, byłyby mdłym i pustym frazesem. Ale on jest dyplomatą, którego mowę trzeba odwijać z osłonek i nadawać jej głęboko ukryte znaczenie, ile razy ona pośrednio odnosi się do potęg świeckich. Dowodem odezwanie się jego w sprawie irlandzkiej. Niby potępił prowadzoną tam walkę, ale napomniał swych błądzących „synów“ tak, że rząd angielski wcale nie zachwycił się tą przestrogą, a jeszcze mniej dodanem do niej błogosławieństwem. Podobną zręczność widzimy w zachowaniu się wobec Strossmeyera, który przybył na czele pielgrzymki chorwackiej. Tisza, popierany przez nuncyusza w Wiedniu, chciał nie dopuścić, ażeby drużynę jego niewolników wprowadził przed papieża nienawistny biskup diakowarski; Leon XIII umiał tak sprzeczności pogodzić, że i wilk węgierski był syty i owca chorwacka cała.

Wobec tej dyplomatycznej ostrożności nie można powiedzieć, ażeby Leon XIII stanął kiedykolwiek wyraźnie po stronie swej skarżącej się owczarni, ażeby wystąpił jako obrońca ludów; ale przyznać trzeba, że w ostatnich czasach nieco ku tej stronie się przechylił. Przemiana ta nie jest u niego wynikiem zbudzonego poczucia sprawiedliwości, ale obawy. Prasa klerykalna, która nawet wtedy, kiedy wódz katolików przypinał order Chrystusa ich prześladowcy, powtarzała bezmyślnie: ojciec św. wie, co robi — ta prasa odtrąci przypuszczenie, ażeby ów „święty i nieomylny“ mógł błądzić, a tem bardziej uczuwać trwogę. My jednakże, nie zagrzebawszy rozumu w poddańczym prochu, możemy odważyć się na takie bluźnierstwo, skoro ono jest logicznym wnioskiem z faktów. Leon XIII spostrzegł, że za daleko przejechał granice swego stanowiska religijnego i za zbyt odstręczył od swej polityki ludy. Zaczyna więc cofać się i nawracać od gabinetów dyplomatycznych ku kościołowi. Czy nowy ten kierunek będzie długotrwałym — wróżyć trudno i raczej należy wątpić, niż wierzyć. Jak tylko na Stolicy papieskiej zasiadł polityk, wyparł z niej apostoła. Pod naciskiem cichych wpływów i głośnych objawów ulegnie, ale prędzej czy później nie oprze się pokusie, która silniej na niego działa od wszelkich pobudek religijnych i moralnych—chęci odzyskania władzy świeckiej. Na tę ideę, jak na nić, nawleka wszystkie swe czyny Leon XIII i nie zawahałby się przed niczem, co by go doprowadziło do upragnionego celu. Jeżeli więc nie sprzeda swych „najukochańszych synów,“ to tylko dlatego, że ich ceną nie kupi przedmiotu swych dążeń i marzeń. Gdyby sułtan turecki wywalczył mu państwo kościelne, odstąpiłby sułtanowi wszystkich galicyan i pozwolił mu ich obrzezać. Bezpieczeństwo zatem owczarni katolickiej spoczywa w ograniczeniu osobistych środków samolubstwa jej pasterza oraz w tem, że ona mu daje więcej siły swem posłuszeństwem, niż potęgi świeckie swą przyjaźnią. Leon XIII zbyt jest przezornym, ażeby chciał narażać się na utratę lub uszczuplenie tego, co posiada — nieograniczonej władzy nad milionami katolików, dla osiągnięcia tego, czego prawdopodobnie nigdy nie osiągnie — władzy monarszej nad małym kawałkiem ziemi. Teraz właśnie zrobił krok wstecz na drodze, która mu groziła niebezpiecznem ryzykiem. Ale nawet w tym zwrocie dyplomatycznym ruchem dał poznać, że całkiem gry ulubionej się nie zrzeka i może jeszcze spróbuje szczęścia przy stoliku — polityki.

ROZRUCHY RUMUŃSKIE.

Nagły i w pierwszych doniesieniach nieobjaśniony bunt chłopów rumuńskich był dla Europy, której uwagę zwrócił, zagadkowym, tem bardziej, że rząd rzucił nań osłonę milczenia lub zmyśleń. Telegraf powtarzał, jak papuga, że w Urziceni wybuchły groźne rozruchy, że przeniosły się na inne okręgi, że musiano je tłumić siłą wojskową, ale skąd lawa wypłynęła i dokąd dąży — depesze nie tłomaczyły. Dopiero w ostatnim tygodniu zaczęła się prawda wyłuskiwać z łupin, a zawdzięczamy ją redaktorom dwu dzienników rumuńskich (*Lupta* i *Romanul*), którzy wyjechawszy na miejsce wypadków, przeprowadzili staranne śledztwo i ogłosili przedmiotowe sprawozdanie. Według nich — sprawa tak się miała. Bratiano, wiedząc, że dni jego są policzone, i chcąc przedstawić się królowi niezbędnym, polecił organom administracyjnym sfabrykować zbiorowe prośby od ludu, błagające monarchę, ażeby zatrzymał swego pomocnika. Tą robotą zajęli się głównie podprefekt Urziceni Cernesco, mer Vasilesco i adwokat Jipesco. Zebrali gromadę chłopów niepiśmiennych i nakłonili ich do podznaczenia prośby krzyżami, skłamawszy, że ma ona domagać się ziem i kukurydzy dla włościan. Podpisy, a raczej krzyże, posypały się obficie. O tym podstępie dowiedzieli się przeciwnicy rządu i objaśnili chłopów. Ci wzburzeni udali się do merostwa i zażądali okazania im prośby, a nie znalazłszy mera, który był u podprefekta, poszli za nim. Podprefekt chciał ich nastraszyć wymysłami, ale oni rzucili się na niego i wraz z merem obili. Następnie wrócili do merostwa, ukarali podobnie innych autorów prośby, napisali drugą, w której przedstawili wszystkie swoje cierpienia i nędzę, a dołączywszy sfałszowaną, powierzyli obie wybrańcowi swemu K. Lupu.

Władze miejscowe wezwały na pomoc telegrafem wojsko; ponieważ jednak przybyło ono dopiero w nocy, chłopi mieli czas zawiadomić o swym buncie okoliczne wioski, z których nadciągnęły tłumy. Wreszcie siłą zbrojną powstrzymano przy rogatkach Urziceni dalszy przypływ tłumów i polecono im, ażeby przedstawili swą skargę za pośrednictwem deputatów. Ale prefekt, człowiek lękliwy i nieudolny, stracił całkiem głowę i wysłuchawszy żażaleń, odpowiedział chłopom, domagającym się pracy i chleba: „jeżeli tego wam brak, zacznijcie uprawiać ziemie, które *znajdziecie* nieuprawione.“ Te nieostrożne słowa stały się zarzewiem dalszego pożaru. Chłopi rozproszyli się z okrzykami: „Dzień sprawiedliwości nadszedł! Idźmy uprawiać ziemię.“

Hasło to z piorunującą szybkością obleciało wsie i sioła, śród włościan zapanowała radość, zaczęły coraz głośniej brzmieć odgróżki przeciwko wyzyskiwaczom i ciemiężycielom ekonomicznym. Tym sposobem dzięki naiwnemu prefektowi, ruch polityczny przybrał cechy rolne i z ciasnego pierwotnie łożyska rozlał się szeroko.

Jego moc wybuchowa miała swe źródło w opłakanem położeniu włościan rumuńskich. Z wyjątkiem t. z *redesi* (heredes), dawnych żołnierzy, obdarzonych ziemią i dziedziczących ją a bardzo nielicznych, cała masa ludu przed r. 1864 nie posiadała tam gruntów, które im (około 700,000 rodzin) nadał ks. Cousa z porady swego pierwszego ministra Kogolniceana za bardzo umiarkowaną spłatę. Uwłaszczono trzy kategorye: ci, którzy pracowali czterema wołami, otrzymali 11 pogonów (pogon = ½ hektara); którzy pracowali dwoma — 7 p.; którzy pracowali tylko rękami — 3½ p. Wszyscy do r. 1894 nie mają prawa sprzedawać swych udziałów. Chłopi, pragnący uprawiać inne ziemie, zawierają z właścicielami lub dzierżawcami umowy — i te właśnie uciążliwe kontrakty, rzekomo „wolne,“ są główną przyczyną niezadowoleń i stały się najsilniejszą podnietą ostatnich rozruchów. W okręgu jalomnickim (gdzie leży Urziceni), stosunki przybrały postać potworną. Podczas gdy dzierżawca za pogon (½ hektara) płaci właścicielowi 12 fr. czynszu, od chłopa pobiera 45 fr. w zbożu, kukurydzy itd. Jeżeli ten ostatni wynajmuje 4 pogony, musi *w dodatku* uprawiać jeden. Obowiązany nadto dwa razy przewozić zboże do portów, a koszt każdego z tych transportów wynosi około 30 fr. Dalej: winien cztery dni pracować bezpłatnie z całym inwentarzem. Nie dość tego: włościanin musi ofiarować właścicielowi lub dzierżawcy: cztery kury, szynkę i ozor, z każdego zaś pogonu pewną ilość zboża w porze umową oznaczonej. Jest również zwyczajem, że z 5 pogonów za drzewo płaci 30 fr. zbożem. Przypuściwszy tedy, że wynajmuje 10 pogonów (5 hektarów) roli, w czasach normalnych dobywa z niej w plonach około 900 fr. Z tej sumy właściciel lub dzierżawca bierze w czynszu 570 fr., zasiewy kosztują 120 fr., za całą więc pracę roczną chłop dostaje 210 fr., czyli 60 centymów dziennie na wyżywienie siebie i rodziny, oraz na zapłacenie podatków.

A jeżeli zbiory zawiodą, jeżeli wypadnie nieurodzaj — co zdarza się bardzo często? Wtedy nędza dochodzi do przerażających rozmiarów.

Panuje ona we wszystkich okręgach. Jeden z włościan, badany, rzekł: „Palimy się w piecu straszniejszym, niż piekło, i z oczami do nieba zwróconemi czekamy pomocy, która może przyjdzie z wysoka.“

Rozruchy stłumione, ale ich przyczyna nieusunięta. Dopóki zaś ona istnieje, Rumunii grozi wojna wewnętrzna, która posiada znaczenie polityczne, bo żywioły buntu nie mogąc znaleźć sprawiedliwości u rządu swojego, odwołują się o ratunek do innych. Pierwotnie nawet mniemano, że bunt chłopski był posiany ręką obcą, co okazało się mylnem; ale czy kiedykolwiek nie nastąpi związek jego pierwiastków z siłą zewnętrzną—tego rząd rumuński nie może być pewnym.

P. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Chcąc nie chcąc, musimy z całą współczesnością pisać na tem miejscu historyę Boulangera. Bo i cóż począć, kiedy ten człowiek jest dziś głównym tkaczem osnowy politycznej. Zarówno drut telegraficzny, jak tłocznie drukarskie zajmują się nim ciągle i tak dalece, że nieraz można się zapytać: czy ks. Bismarka już nie ma w Europie? Boulanger wydał broszurę w 2½ milionach egzemplarzów p. t. *L'invasion allemande*, Boulanger ogłoszony został patro-

---

2)

JURGIS DURNIALIS.

(SIELANKA).

III.

Córka starosty Wargialisa, Alina, była jedynaczką; nic tedy dziwnego, że dziewczyna rosła hożo i była gładka, jak łania.

Parobczaki lgnęli do niej, jak ćmy do jasnej świecy; więc nabrała o sobie przekonania, że jest najważniejszą osobą nietylko w Zaspanej, lecz w całej parafii, a może i na całą *okolicznosć*. Miała też słuszność. Bywało, zimową porą, starosta zaprzęże ogierka do sanek, przywiąże do końca hołobli dzwonek, usadowi żonę i córkę na majszy *), wypchanej sianem, a sam przysiądzie z przodu na ławeczce, jedną nogę zwiesi na płozę i zawoła: hop, hop!.. Dzwonek zajęczy, koń zarży i poniesie, poniesie—jak wicher: tylko końce czerwonych wełnianych chustek świszczą w powietrzu.

Parobczaki przystają, kiwają głowami i dziwią się. Dziewczyna śmieje się z radości i myśli: co to u nas!

Zresztą i we wszystkiem starościanka była, jakich mało. Gdy wyjdzie do żniwa i zaśpiewa piosnkę, to po całym polu aż echo dzwoni; przy robocie sierp jej połyska, a gdy wieczorem, powracając do domu, okrągła, przysadzista, przeskakuje z kępy na kępę, całe ciało aż drży na niej — takie to zdrowe i piękne. Słowem, dziewczyna choćby hrabiemu do pary.

* * *

Pomimo gęstej i zimnej porannej mgły, po wschodzie słońca stawało się coraz cieplej. Wioskowe dziewczęta wybrały się do kościoła w letnich ubiorach. Idąc drogą, Alina Wargialówna szczebiotała, jak sroka na płocie — sąsiadki chętnie jej wtórowały. Koło nich długim rzędem szli parobczaki i od czasu do czasu dorzucali ostre słówka. Zdala, sam jeden, ze spuszczoną głową i trochę wahając się z boku na bok, szedł Jurgis. Patrząc na ten miarowy ruch, zdawało się, że ociężały litwin nie może zdążyć za innymi; lecz to było złudzenie: za każdym krokiem przysuwał się bliżej ku gromadzie. Zresztą wioskowi wiedzieli, że, czy w drodze, czy przy robocie, Jurgis ledwie się rusza, a pomimo to wszystkich wyprzedzi. Ktoby go ujrzał, gdy sam jeden z kosą na łące waha się powoli, sądziłby, że ma przed sobą najnędzniejszego kosarza; jednak nie było parobka, coby śmiał stanąć przed nim na przekosie: po kilku ruchach wsiada na kark najdzielniejszego i pędzi go tak natarczywie, że rzadko który dojdzie do końca, a jeśli dojdzie, to mu siedm potów wystąpi i nie powtórzy próby, choćby połeć słoniny obiecano. To też choć nazywano Jurgisa *durnialem*, choć szydzono z jego *zakamienialości*, w głębi duszy bano się go. Bywało, gdy wśród tłumu parobczaków, zaczepiany obelżywym śmiechem, szedł spokojny, ledwie ruszający się, sądziłbyś, że idzie żubr wśród gromady wilków — jedno wstrząśnienie rogu — i jakaś bestya wyleci w powietrze. Lecz żubr nie czynił tego, bo... bo był durnialis. Tak to siła fizyczna ulega moralnej.

Wstążki chichoczących się dziewcząt szelościły przy każdem poruszeniu i mieszając się jedne z drugiemi, tworzyły różnobarwne sploty. Jurgis zapatrzył się na podskoki dziewcząt i zatrzymał wzrok na Alinie: jej wstążki zwijały się najdziwaczniej, jej ruchy były najżywsze. Zrównał się z całem gronem i ku wielkiemu zdziwieniu wesołej gromady, zwracając głowę do starościanki, rzekł:

— Piękna z waćpanny dziewczyna!

Na tak obcesowo wyrażone zdanie, Wargialówna stropiła się; lecz w tejże chwili opamiętała się i odparła:

— A czy słyszałeś Jurgis, jak mawiał Gudas (rusin), co rowy kopał we dworze: „Nie dla psa — *kowbasa*.“

Zaledwie wymówiła, chór głośnego śmiechu przyjaciółek i parobków rozległ się po polu. Jurgis nic nie odrzekł, a nawet nie spojrzał na nikogo, tylko mocniej zawahał się ciałem i w jednej chwili pozostawił daleko za sobą wesołą drużynę.

Gdy wybuch śmiechu przeminął, wszyscy naraz ucichli. Dziewczęta jak gdyby po zmowie myślały:

— Poco ona tak powiedziała? Durny — niech sobie będzie durny, ale syn gospodarski, nie gorszy od niej — poco ta *fanaberya*? Może za pana chce wyjść!

*) Wór wiązany z powrózków, nakształt siatki.

nem ligi narodowej, Boulanger udaje się do Lille koleją a dalej konno, Boulangera wybrano w kilku gminach do rady, Boulanger napisał mnóstwo listów — słowem, Boulanger przechadza się tak po prasie europejskiej, jak gdyby był początkiem i końcem wszechrzeczy politycznych.

Choroba cesarza niemieckiego widocznie powstrzymuje maszynę państwową. Ponieważ jego następca skieruje ster rządów w inną stronę, wszyscy przeto oczekują zakończenia się tragedyi, nie mając ani chęci, ani odwagi podejmowania prac, sięgających dalej, po za życie dogorywającego monarchy. Stąd wyraźna ospałość, stąd brak siły i zwolnienie rytmu polityki niemieckiej, która odznaczała się sprężystością i energią. Ponieważ zaś udział tego państwa w sprawach politycznych był zawsze przeważnym, więc wraz z Niemcami czeka cała Europa— czeka śmierci Fryderyka III, bo na jego zdrowie już nie liczy.

Pod naciskiem tych oczekiwań stłumiony pożar waśni nie bucha ogniem, ale dymi się i swędzi. Występują fakty, które same przez się nie zapowiadają niczego groźnego, wskazują jednak, że są objawami choroby bardzo złośliwej. Czy Niemcy wciągnęły Anglię w sieć swych sojuszów— stanowczo jeszcze nie wiadomo, ale na dnie pogłosek o tym związku jakaś drobina prawdy spoczywać musi. Połączenie zaś takie świadczy, że słynny pokój zbrojny gotuje się ciągle na przyjęcie wojny.

Półwysep Bałkański nie przestaje być Wezuwiuszem politycznym. Dym, a od czasu do czasu lawa przypomina, że wewnątrz wulkanu odbywa się praca nieprzerwanie. Sąd wojenny skazał majora Popowa, oskarżonego o robotę buntowniczą, na kilka lat więzienia, jednocześnie złożono z urzędu metropolitę tyrnowskiego Klemencyusza za nieprzyjazną postawę względem ks. Ferdynanda. W Macedonii wrzenie trwa i udziela się okolicom sąsiednim, tak że Porta gromadzi wojska i zakłada obozy (około Adryanopola i Czataldżi). Sułtan przerażony tymi niepokojami, podpisał umowę anglo-francuzką w przedmiocie kanału Sueskiego, zrzekłszy się przewodnictwa w jego komisyi za prawo przeprowadzania okrętów wojennych dla obrony Arabii.

W Czarnogórzu, które, jak na przekór, w czasach wojennych zachowuje się spokojnie, ogłoszono uroczyście pierwszy kodeks cywilny.

W Rumunii na chwilę zasypano wyrwy buntu chłopskiego i przywrócono porządek. Zakłócił go tylko jakiś pijany, czy obłąkany sierżant, który straciwszy służbę rządową, wystrzelił dwa razy w okna pałacu królewskiego.

Kieszenie narodów austryackich nie zawarły dotąd zgody. Węgrzy nie chcą zezwolić na ustępstwa dla Galicyi w sprawie podatku wódczanego, a ponieważ ona przyjęła ten haracz, ulegając woli cesarza, więc do niego zamierza się odwołać po ratunek.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD DUNAJU.

3 maja.

Ruch wystawowy w Wiedniu. — Uroczystości, poświęcone pamięci cesarzowej Maryi Teresy. — Wystawa historyczna jej imienia. — Wystawa plakatów. — Sztuka polska w Künstlervereinie wiedeńskim. — Obrazy Piotrowskiego z wojny serbsko-bułgarskiej. — Teatr. — Gościnne występy Fryderyka Haasego i pani Niemann-Raabe. — Sztuki francuskie w repertuarze scen wiedeńskich.—Mowa chłopa.

Od czasu ogólnej wystawy międzynarodowej (t. z. światowej) w Wiedniu, stolica naddunajska nie skupiała w sobie ruchu międzynarodowego w tym stopniu, jak w obecnym sezonie roku bieżącego. Z powodu czterdziestej rocznicy wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa I urządzono międzynarodową wystawę sztuk pięknych, o której donosiłem poprzednio; w dalszym ciągu przygotowują ogólną wystawę przemysłową. Przed kilku dniami komitet dziennikarski zwiedził rotundę oraz pawiloniki w Praterze, w którym ona umieszczona będzie. Prezydent komitetu, baron Banhaus, objaśniał plan. Przyjęto oświadczenia przeszło 2,000 wystawców, 500 innych musiano odprawić z niczem, wskutek braku miejsca. Wystawa dzieli się na grupy przemysłu metalowego, tkackiego, drzewnego, papierowego, kamiennego, skórzanego, oraz ceramicznego. Otwarcie jej ma nastąpić 14 maja, łącząc się z uroczystościami przygotowanemi na dzień odsłonięcia pomnika cesarzowej Maryi Teresy.

Równocześnie prawie z jubileuszem rocznicy panowania cesarza Franciszka Józefa I, odbywają się obchody poświęcone pamięci Maryi Teresy. Wspaniały pomnik ze śpiżu i marmuru, dłuta prof. Zumbuscha, zupełnie już wykończony, sterczy w dziwacznem powiciu płóciennem na obszernym placu pomiędzy nowemi zabudowaniami muzealnemi; odsłonięcie jego nastąpi dnia 13 maja, jako w rocznicę urodzin zgasłej cesarzowej.

Najbardziej zajmującą częścią jest historyczna wystawa im. Maryi Teresy, mieszcząca się w Muzeum przemysłowem na Stuben-Ringu. Urządzona w krótkim przeciągu czasu, bo zaledwie w sześciu tygodniach, zadziwia obfitością zbiorów oraz systematycznym układem przedmiotów wystawionych, z których i drobnostka każda odpowiednie znalazła miejsce. Pierwsza sala zawiera głównie dokumenty urzędowe, oraz korespondencye prywatne zgasłej cesarzowej. Dalej znajdujemy liczne przedmioty, których Marya Teresa używała w różnych okresach życia. Widzimy zeszyt pergaminowy, w którym dzieckiem pierwsze pisywała alfabety; pantofel, włosy, medaliony, czepeczek wdowi. Dalej rozłożono na stołach, krytych szkłem, lub na ścianach, również za szkłem, wachlarze, toalety, naczynia porcelanowe, uprząż wierzchowca, stroje galowe jej dworzan. Medale pamiątkowe, bite podczas panowania Maryi Teresy, zajmują dwie ogromne skrzynie szklane. Nieprzerwana ilość portretów współczesnych okazuje nam ją jako dziecko u stóp ojca, jako dziewicę właśnie ukoronowaną, jako żonę i matkę w gronie dzieci, jako cesarzową w pełnym ornacie cesarskim, jako królowę węgierską z koroną Szczepana, wreszcie jako wdowę. Główne portrety wyszły z pod pędzla Meytensa i jego uczniów; wszystkie grzeszą sztywnością i konwencyonalnością.

Sale pierwszego piętra mieszczą urządzenie kilku pokoi. Meble kosztowne, wykona-

---

Parobczaki także rozmyślali:

— Jeżeli jemu — i nam tak samo by powiedziała; że jedynaczka, to ma prawo gadać co ślina na język przyniesie?

Zresztą i sama Alina czuła, że popełniła niedorzeczność, więc była jak nieswoja. Napróżno rozumowała: co tam zwracać uwagę na durnego! — nie mogła siebie przekonać.

Ledwie po południu, gdy wracano z kościoła, zapomniano o tem wydarzeniu i śmiano się znowu wesoło.

IV.

— W ręce kochanej kumy!

— Na zdrowie kumo!

Takie wykrzykniki raz po raz wylatywały z ust raczących się sąsiadek: Wargiałowej i Piktasowej. Na stole stał spory dzban piwa, tudzież leżały: kupa blinów, parę kiełbas i dwa duże rogojsze (pierogi). Podczas gdy kobiety piły, całowały się, krytykowały działalność sąsiadek, Grzegorz ze starostą, pochyliwszy się nad stołem, wiedli półgłosem poważną rozmowę. W przerwach pociągali ze szklanic piwo, przyczem Piktas dorzucał:

— Pijże kumie do dna!

A skoro owo dno ukazywało się, dolewał znowu.

Naraz starosta wyprostował się, przyłożył palec do czoła, pomyślał i uroczyście rzekł:

— Jakoś to będzie!..

Czujna Grzegorzowa, jak gdyby oczekiwała tej chwili; podniosła się i półgłosem wtrąciła:

— Postaraj się panie kumie wedle możności, a co tam potrzeba — już to wszystko... jak Bóg przykazał...

— Ha, pani kumo — odparł starosta poważnie—bez tego nie można. Niedarmo mówi przysłowie: „Kto smaruje, ten jedzie"... takie już czasy nastały. Nie obejdzie się ani bez starszyny, ani bez pisarza, a może i dalej trzeba będzie się zaczepić...

— Róbcie już kumie, jak wiecie...

Podczas tej rozmowy Piktas wylał ze dzbana ostatnie krople płynu, stuknął o stół naczyniem i zawołał:

— Lejba!

Gdy karczmarz podbiegł, w milczeniu wskazał mu dzban. Roztropny arendarz nie zapytał:— ile? — bo wiedział z kim ma do czynienia. Piktas nie jakiś chudopachołek, któremu trzeba mierzyć półgarncówkami; dla takich gospodarzów niemasz innej miary, jak garniec — i to wielki, pięciokwartowy, warszawski.

* * *

Nazajutrz, w czasie śniadania, drzwi się u Piktasów otworzyły i na progu stanął starosta.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł, zdejmując czapkę.

— Na wieki wieków...

— Syć Boże!

— Prosimy.

— Dziękuję — powiedział i usiadł na ławie.

— Cóż to waćpan siadasz w końcu stołu — rzekła, zrywając się Piktasowa — aż wstyd! Proszę za stół.

— Wszystko jedno, jeść nie chcę, a pogadać mogę i tu siedząc — odparł starosta, dobywając z zanadrza lulkę i kapciuch z tytoniem.

— Cóż porabiacie? Czy wiele wymłóciliście? — zapytał, wsuwając cybuch w prawy kąt ust.

— Młócim po trochu — mruknął Grzegorz głucho, bo w tej chwili wpakował w usta spory kęs chleba.

— U Wiłejki młócą na gwałt: i w *okurkach* *) i cały dzień.

— Słyszeliśmy — rzekła Grzegorzowa— Bóg wie, poco tak śpieszą...

— Jakoby syna chcą żenić — w swaty ma jechać. W adwencie pojeździ, a jeśli co, po świętach wesele.

Karusia zakrztusiła się, pokraśniała jak wiśnia i pochyliła głowę. Grzegorzowa nawiasem szepnęła:—ktoś się śpieszy— a Jurgis z ukosa spojrzał na siostrę.

A do kogo ma jechać? — zapytała gospodyni, zwracając się do starosty.

— At!. starzy do *bohatyrów* miarkują: do Jana Szyłejki, albo do Mierkułasa... a syn nie chciałby. Mówi: i sam drogę znajdę. Stary jakoby powiedział, że nie pozwoli więcej nigdzie — nie wiadomo jeszcze, co będzie.

— Słyszałam — rzuciła Grzegorzowa niby od niechcenia — że najprzód do waćpana każą zawrócić.

— Jak zawróci, tak i odwróci — rzekł starosta, przedmuchiwając cybuch.

*) O kurkach — rano.

ne w dziwacznym stylu XVIII wieku, połyskują złotem, uginają się pod ciężarem subtelnych robót snycerskich, a zajmują jedynie kunsztownością robót układanych, wyobrażających zwierzęta, rośliny, arabeski lub całe sceny rodzajowe. W ostatniej sali ustawiono niektóre droższe sprzęty gobelinowe, oraz lektyki aksamitne, wozy galowe, całkowicie wyzłacane, sanki o dziwacznych wykrętasach. Wiele też widzieć można pamiątek z lat dziecinnych syna Maryi Teresy, cesarza Józefa II; z licznych obrazów i sprzętów wyczytasz też, jakiem było życie ówczesnego towarzystwa arystokratycznego, grupującego się koło dworu.

Trzecią jeszcze wystawę mieścił Wiedeń równocześnie w swych murach. Była to ogólna wystawa plakatowa, która reprezentowała historyę afiszów oraz stan obecny tej gałęzi sztuk we wszystkich prawie krajach cywilizowanych.

Ojczyzną plakatu jest Francya. W XII dopiero stuleciu dostał się do Niemiec, gdzie zrazu służył tylko rządom. Z czasem urobiło się „prawo afiszowe," które w ostatnich dopiero lat dziesiątkach ustąpiło miejsca powszechnej swobodzie, wyzyskiwanej obecnie z wielką konkurencyą.

Z rozwojem prasy znaczenie plakatów poczęło ulegać szwankowi. Inserat (ogłoszenie dziennikarskie) zaczęło z nim współzawodniczyć niebezpiecznie. Anglia i Ameryka wróżyły plakatowi czarodziejską siłę reklamy, powiększając go i ozdabiając rysunkami. Od tego czasu rozwój sposobów afiszowania łączy się ściśle z ogólnym rozwojem kulturalnym społeczeństw. Najwyżej stoi ta sztuka po dziś w Ameryce północnej. Przemysł artystyczny, wzięty w tę służbę, dokonywa tam cudów. Amerykanie starają się na plakatach swych umieszczać jaknajwiększą ilość słów, okrywając je z góry na dół rysunkami kolorowanymi. Rzeźnia, sklep korzeny, kawiarnia, teatr, cyrk — rozlepiają kolosalne obrazy, które objaśnia tylko krótki napis: adres odnośnej instytucyi. Obrazy zaś wykonane są z rzadką w Europie śmiałością rysunku i efektownością kolorytu. Anglia, Francya, Belgia i Holandya stoją na tym samym niemal poziomie. Niemcy i Austrya nie dorównują krajom tym, przyczem nadmienić należy, że plakaty w Austryi są piękniejsze: w Niemczech stoi na przeszkodzie t. zw. „cenzura afiszowa." Jednak plakat austryacki celuje tylko zręcznością zecera, gustownością czcionek drukarskich; robota rysownika i całość układu wiele pozostawiają do życzenia. Najniżej zaś stoją pod każdym względem wyroby nadesłane z Rosyi i Szwajcaryi; są to roboty małych rozmiarów i bez smaku wykonane.

Sztuka polska coraz zaszczytniejszego dobija się tu miejsca. Wspomniałem w liście poprzednim, że na ogólnej wystawie jubileuszowej prace artystów polskich, aczkolwiek niestanowiące osobnego oddziału, należą jednak do najpiękniejszych i przez krytykę wyróżnione zostały. W Kunstlervereinie na Tudslauben znów dwaj artyści polscy żywo zajęli publiczność dziełami swemi. Jan Styka, znany uczeń Matejki, nadesłał niektóre płótna, znane już w kraju; Ranzoni chwalił w nich piękny rysunek oraz ciepły, prawdziwie Matejkowski koloryt. Wielkie wrażenie zaś wywołują tu obrazy i szkice z wojny serbsko-bułgarskiej, wykonane przez Antoniego Piotrowskiego i okazywane w Kunstlervereinie tylko wieczorem, przy oświetleniu elektrycznem. O szkicach tych umieszczały dzienniki wiedeńskie fejletony, w których przyznawano Piotrowskiemu (reporterowi ilustracyjnemu czasopisma londyńskiego *Graphic*), że prace jego nie ustępują w niczem obrazom pierwszorzędnego ilustratora i „specyalnego rysownika" *London News*, Schönberga. Główną postacią na wszystkich prawie obrazach Piotrowskiego jest bohater z pod Śliwnicy, Aleksander Battenbergski. Obrazy olejne przedstawiają go w chwilach donioślejszych kampanii serbsko-bułgarskiej. Tu widzimy go otoczonego sztabem generalnym przed rozpoczęciem bitwy pod Śliwnicą; tam znów odwiedza forpoczty pod Pirotem; dalej, już po zajęciu tego miasta, wjeżdża na czele wojska swego. Z prawdziwą werwą oddał Piotrowski walkę na bagnety pod Zazibrodem. Wnętrze szpitala przypomina krwawy pędzel Wereszczagina, którego Piotrowski i w szczegółach lubi naśladować. Wszystkie te obrazy, dotychczas wyliczone, odróżniają się od ilustracyj zdjętych podczas innych kampanij chyba szczegółami pola i umundurowania. Charakterystycznymi zaś dla wojny serbsko-bułgarskiej są dwa inne obrazy: przejście bułgarów przez granicę serbską i widok pola walki pod Pirotem. Cała armia maszerująca, na pierwszym obrazie, jakżeż drobną się wydaje w porównaniu z nieprzejrzanemi kolumnami wojsk niemiecko-francuskich podczas ostatniej wielkiej wojny! Pod Pirotem widzimy — ośm trupów! Filantrop, który ze wstrętem odwraca się od obrazu Wereszczagina, przedstawiającego piramidę czaszek pod wąwozem Szipki, ze spokojem niemal poglądać może na te ilustracye wojny serbsko-bułgarskiej. Najbardziej może zajmującymi są szkice portretowe ks. Aleksandra. Są to rysunki prawdziwie dziennikarskie, nakreślone pospiesznie w chwili stosownej, które podobnie jak inne szkice ilustracyj dla *Graphic'a* nieraz po tygodniu umieszczone były w czasopiśmie nawet niekopiowane, lecz bezpośrednio przenoszone zapomocą płyt cynkowych.

Pora teatralna w stolicy naddunajskiej przebyła już punkt szczytowy. Carltheater zaprasza, jak corocznie na wiosnę, sławnych gości. Fryderyk Haase, jeden z pierwszorzędnych współczesnych aktorów niemieckich, występował na tej scenie w ostatnich tygodniach dziesięć razy, przeważnie w sztukach niemieckich starszej szkoły. Haase zachowuje klasyczne tradycye konserwatoryum drezdeńskiego, umie jednak być nieraz zdumiewająco realistycznym. Pani Niemann-Raabe, która tuż po Haasem przybyła na gościnne występy do Carltheatru, zapoznała wiedeńczyków z utworami modnego dramatopisarstwa francuskiego, które znane dokładnie na scenach polskich, tu w ostatnich dopiero czasach i właśnie tylko dzięki artystom-gościom, walczącym o koncertowe role, zajęły miejsce wybitniejsze w repertuarze. Ta „niemiecka Sara Bernard" odtwarza istotnie „Francillon," „Dorę," „Teodorę" ze sprytem, werwą i namiętnością, które porywają i przekonują widza, mimo iż indywidualność artystki, blondynki o pełnych kształtach i niemieckich rysach, wprost w sprzeczności pozostaje z typami przedstawianymi. Francuskie sztuki zapełniały teatr raz po raz. „Francillon" można było dawać dziewięć razy z rzędu. Dyrekcya konkurencyjnego teatru „an der Wien" postanowiła grożącemu jej od pe-

---

— Kiedyż to — mocny Boże — każdy chudopachołek pnie się jak rak na darń — dodała Grzegorzowa.

Na tak obelżywie wyrażone zdanie, Karusia drgnęła, jakby jej żaba w zanadrze wlazła; a starosta przedmuchawszy cybuch, rzekł:

— Nie można powiedzieć, żeby to był chudopachołek; my nie pogardzamy: ja dziś starostą, on jutro... ale nasza Alinka jeszcze za młoda, zdąży. Póki jest przy rodzicach— wiadomo; a co będzie za mężem, nikt nie wie... A że Wilejkowie chcą dobrej *koligacyi*, to i nic dziwnego.

Wyrzekłszy zdanie, w którem udało się wtrącić mądre słówko zasłyszane we dworze, starosta pyknął dymem tak zapamiętale, aż w lulce zaskwierczało. Grzegorzostwo z szacunkiem spojrzeli na mądrego sąsiada, Karusia wypogodziła twarz i nawet przygarnęła włosy. Jeden Jurgis nie zwrócił na nic uwagi.

Nastała chwila milczenia. Starosta chrząkał, jakby chciał coś mówić, lecz dwakroć kończył przedmuchiwaniem cybucha. Nareszcie wkręcając go do lulki, niby najobojętniej rzucił:

— Słyszałem, jakoby Jurgis chce swoją połowę gruntu waszym chłopcom odpisać.

— Kiedy to ludzi o wszystko głowa boli — odparła skromnie Grzegorzowa — nic to jeszcze pewnego i nie mamy co śpieszyć.

— Za co kupiłem, za to sprzedaję—rzekł starosta poważnie. Nic by też nie było dziwnego, żeby dziadźko *) bratankom zapisał; chłopakom wieleby ulżyło—czy to w losach, czy w czem innem. Nie każdemu tak udaje się, jak ongi Jurgisowi, wyciągnąć ostatni numer.

Dziadźko, jak gdyby nie słyszał całej rozmowy, zacięcie połykał jedną łyżkę buzy (zacierki) po drugiej. Starosta znowu wyjął cybuch i odetchnąwszy głęboko, dął weń z całej mocy, aż mu twarz posiniała, a cybuch skwierczał i piszczał, jak oś cygańska.

— A ja *szczyrze* mówiąc — odezwał się wkręcając cybuch—myślę sobie: jeżeli prawda, co ludzie mówią, to po sąsiedzku, bez żadnego kosztu, wyrobię papier i pieczęć przyłożę... Starszyna także przyłoży. Jeżeli Jurgis chce, to waćpani niepotrzebnie zwlekasz; dzień nasz—wiek nasz; jak będzie inny starosta, inny starszyna — nie tak łatwo. At i teraz jadę do kancelaryi; powiedziałbym pisarzowi, starszynie — i koniec.

— Nie wiemy—rzekła zakłopotana Grzegorzowa — to już od Jurgisa zależy — jak on?...

— A cóż on!—odparł starosta — co człek raz powiedział, to powiedział. Czy to pierwszyna! czy my Jurgisa nie znamy! Nie taki to człowiek, co słowa na wiatr puszcza.

Grzegorz zakłopotany chrząknął, poruszał się na ławie, nie wiedząc, co z sobą począć. Jurgis podniósł głowę, mruknął coś i znowu pochylił się do łyżki.

— Idźcie chłopcy! — rzekł starosta, powstając z ławy— podziękujcie hycle dziadźce... przez to samo może i do sołdatów nie pójdziecie, *starszy* nie będzie wam skóry garbował.

Na wspomnienie sołdatów, Grzegorzowa zaczęła chlipać, a chłopcy, popychani przez starostę, zbliżyli się do dziadźki, chwycili grubą, czarną rękę i ucałowali.

— Durnie! — mruknął Jurgis.

— Nie ze wszystkiem i durnie — rzekł starosta — pokora niebo przebija, a takiemu dziadźce nogi myć i tę wodę pić — ot co!..

— At! i bez papieru ich będzie — bąknął Jurgis.

— Będzie, to będzie; ale kiedy można bez kosztu, po sąsiedzku, czemuż i nie zrobić! A w losach zaraz im ulży.

— Co tam ma ulżyć!..

— Waćpan nie znasz się na tem — surowo przerwał starosta; czy myślisz, że i *tam* nie miarkują wedle gruntu? Jeżeli wziąć obu od włóki, to któż ziemię będzie orał? Rolnik wszystkich karmi — i pana i urzędnika i księdza: czy myślisz, że rozumne głowy nie wiedzą o tem, nie *karkulują*, żeby to ziemia nie leżała odłogiem! Zmiarkowałeś rozumnie i po chrześciańsku, a gadasz kto wie co!..

Starosta splunął i biorąc czapkę, dokończył:

— Bywajcie zdrowi! pogadam w kancelaryi ze starszyną i wszystko zrobim, jak się należy.

(D. c. n.).

Brolis.

*) Stryj.

wnego czasu bankructwu zapobiedz wyspecyalizowaniem się na filię Palais Royal'u i Rozmaitości francuskich. Nabyła odrazu trzy nowości francuskie, które miały powodzenie w Paryżu: „Les surprises du divorce,“ „Decoré“ i Coquard et Bicoquet.“ Wierzyciele zaczekają więc aż do końca przyszłego sezonu, w nadziei, że próba się uda; publiczność polska zaś, widząc tu raz po raz Meilhaców i Najaców, ulegnie złudzeniu, że znajduje się w teatrze warszawskim, krakowskim lub lwowskim.

O ciekawem zdarzeniu w parlamencie austryackim, walce chłopa z księciem w sprawie oświaty dla ludu, pisma codzienne nie doniosły wam zapewne tak wyczerpująco, jak na to zasługuje. „Lex Lichtenstein,“ znany wniosek księcia czesko-niemieckiego, skierowany przeciw rozwojowi szkół ludowych, a tem samem przeciw oświacie szerokich mas ludu, wywołuje coraz gorętsze spory w Radzie państwa; sprawa oświaty i postępu grozi rozbiciem zwartemu szeregowi posłów, złączonych interesami narodowościowymi. Słowa takie, jakich użył czesko-niemiecki poseł chłopski Krepek, rzadko słyszeć można u stóp tronu, wypowiedziane w twarz dostojnikom klerykalnym. Krepek rozpoczął od wyjaśnienia, że wniosek Lichtensteina zmierza wprost do ogłupienia ludu wiejskiego. Walka o wolność będzie najpoważniejszą, jaką kiedykolwiek przedstawiciele stoczyli w Radzie państwa; idzie tu o śmierć lub życie we względzie umysłowym. Jest to hańbą dla parlamentu, że w łonie jego powstaje zamiar naruszenia nietykalnych praw ludu. Co by powiedzieli ci panowie i książęta, gdyby lud powstał i silną ręką targnął się na przywileje, które tamci uważają za prawa im należne? Są to ci sami panowie, których przodkowie w dawnych czasach lud uciskali. Znikł tylko pancerz i hełm, ale ostrogi pozostały (aluzya odnosząca się do ks. Lichtensteina, który zjawia się często w parlamencie z ostrogami). Następnie Krepek zwrócił się do reprezentantów 1848 r., zasiadających dziś w Radzie państwa. Panowie ci, a na ich czele Rieger, głowa czechów, postępują dziś wprost sprzecznie z dążeniami swemi w 1848 r. Krepek zarzuca im, że służą papieżowi. Są oni o wiele gorszymi, aniżeli żydzi. I ci reprezentują dziś znaczną w państwie potęgę, jednak nigdy jej nie użyli do zgniecenia i wstrzymania oświaty, aczkolwiek w walce o pieniądz woleliby niezawodnie mieć do czynienia z ludem ciemnym. Krepek zakończył śmiałem odwołaniem się do panującego. Przypomina, że kiedy niedawno temu w Kole polskiem toczyły się obrady o podatek wódczany, przerwano nagle rozprawy po stwierdzeniu, że *wyższa potęga* życzy sobie załatwienia sprawy w pewnym duchu. Nie było to parlamentarnem, ale stało się. Krepek wyraził nadzieję, że w chwili, w której chodzić będzie o dobro umysłowe, cenniejsze, aniżeli trunki gorące *), owa ręka potęgi wyższej po raz wtóry zjawi się w parlamencie.

A. Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

ZE WSPOMNIEŃ O SHELLEYU.

Jest na tym globie naród wielki, który najsławniejszych swych synów lubi wyklinać. Potęgę ducha zbiorowego głosząc od czasu do czasu przez usta wybrańców — sam wnet lęka się ich i jako niebezpiecznych wprzód stawia pod pręgierz moralnej opinii, która im nie wybacza najdrobniejszych grzechów, a potem z panteonu swego wyrzuca. Dzieciom swobody nie wolno wielbić własnej matki.

Tym narodem są anglicy. Kto przysłuchując się sejmowej wrzawie, z której zwycięzcą wychodzi jawny ateusz Bradlaugh, mniemałby, że w tej bałwochwalczej świątyni tradycyi czasy się zmieniły, byłby w błędzie. Nietylko Byron nie zdołał przebłagać swych rodaków i na wieki wieków mimo obłudne owacye prochom — został strącony z piedestału, ale nawet serafiszny Shelley zdawać musi sprawę z każdego czynu, z każdego dnia życia swego, który obraża przekonanych o szczerości swej świętoszków. A przecież ten poeta-duch raz tylko szydził z ojczyzny (*EdypTyran*), nie wydrwiwał podejrzanej czystości jej obyczajów, nie pokazywał kocich pazurów komisarzom od cnoty. Przecież uznano go za największego liryka, co do geniuszu zrównano z Szekspirem i Miltonem! Niechaj to nikogo nie łudzi. Mimo całej swej boskości i apostolstwa ideału — Shelley popełnił jedną straszną zbrodnię, za którą najokrutniejsze w piekle męki zbyt słabą będą karą: rozwiódł się.

Znakomity biograf jego, profesor Edward Dowden, który jest tem dla Shelleya, czem Małecki dla Słowackiego, a Chmielowski dla Mickiewicza — śmiał nieszczęsną sprawę rozwodu, a także inne przewinienia: odszczepieństwo od wiary, bezmierny radykalizm polityczny zostawić bez sądu. Dostał za to publiczną naganę, a że jednocześnie zarzucano mu brak ogólnego na postać Shelleya poglądu, czyli tak zwanej syntezy, więc w jednym z ostatnich zeszytów *Forthnigtly Review* — błędy swoje naprawia (*Last words on Shelley*. Październik, 1887).

Tak niedawno jeszcze genialny autor *Prometeusza rozpętanego* zwrócił na się podziw, tak mało jeszcze pracy poświęcano zbadaniu tajników jego duszy, że każdy nowy promyk światła przejmuje czcicieli prawdziwą radością. „Ostatnie słowa“ Dowdena dają wyborny rzut oka ogólny na fizyognomię duchową bohatera, w całości zgodny z portretem zrobionym np. przez Brandesa, Schuvego i Huttona, ale w pewnych częściach zupełnie świeży.

Czem były dla Shelleya idee rewolucyi francuskiej — to chyba nikomu nie jest obcem; wiedzą wszyscy, że władnął je całą istotą swą i oddał społeczeństwu w utworach proroczych, tak wolnych od wszelkiej brutalności i pełnych bezgranicznego idealizmu, jak gdyby były dziełami ucieleśnionego anioła; wiedzą wszyscy, że było to serce bijące gorącą miłością dla całej rodziny ludzkiej, wrażliwe na wszelką krzywdę i gwałt, jak mimoza na szorstkie dotknięcie, że był to umysł przedziwną obdarzony imaginacyą, która w obrazach niepochwytnych jak eter, świetlanych jak tęcza, fantastycznych jak senne widziadła, rozmaitych jak natura — symbolizował namiętnie ukochane godło: swobody i braterstwa.

Ale jaką to drogą tchnienie burzy z za morza powiało do Shelleya? Przez Godwina, tego samego Godwina, którego córka Mary miała zostać drugą żoną poety i wynagrodzić mu słodyczą swą ciernie nieszczęśliwego pożycia z Henryetą Westbrook. Był on znakomitym publicystą, wychowanym w pojęciach, co tak krwawą aureolą otoczyły koniec zeszłego wieku. Poglądy swe wyłuszczył w głośnem dziele *Political justice* i ta to książka, wpadłszy w ręce zapalonego młodzieńca, odrazu nadała kształty określone apostolskim porywom, otworzyła przed nim krainę nowych zupełnie dla bytu społecznego form.

A jednak filozofia Godwina raczej odpychała, niż przyciągała swą suchością i nieubłaganie trzeźwym racyonalizmem, jak widać ze słów Dowdena i przytaczanego przezeń Leslie Stephena. Była to etyka rachunku i rozwagi, bardzo pokrewna tej, którą głosił Bentham, jeno mniej samolubna. Głosiła, że cnota — to rozum, a występek — nierozum wykwitły na gruncie przesądu i ciemnoty. Rozum więc a nie uczucie winno być zawsze i wszędzie naszym drogowskazem i przeto związki na popędach i słabostkach sercowych oparte, niegodne są pochwały. Cóż przytoczyć można na obronę miłości synowskiej, osobistego szacunku, ślubów wiary małżeńskiej, wdzięczności dla dobroczyńcy? Nic — dlaczegóż bowiem mam być wdzięcznym? Albo było obowiązkiem dobroczyńcy pomódz mi, albo nie. W pierwszym razie nie ma zasady dziękczynienia, w drugim — zasługuje on na naganę. „*Mój* ojciec i *moja* matka! Cóżem ja winien, że wydała mię na świat miłość mężczyzny i kobiety, nieposłusznych może podszeptom zdrowego rozsądku i obowiązku i dlaczegoż mam ich za to czcić i kochać? Prawda, że ze stosunku takiego mogę wyciągnąć różne dla siebie korzyści, ale jeśli dobre chęci moje mogą dla ludzkości inaczej być spożytkowane, mam prawo od rodziców odstrychnąć się.“

Życie Shelleya świadczy, że mistrza swego pojął. Z ojcem łączyły go węzły bardzo słabe, bo silnie naprężone. A chociaż w listach okazywał mu należny respekt i usposobienie pojednawcze — nie ukrywał wcale, iż czuje się odeń znacznie wyższym. Po daremnej próbie nawrócenia, nazywał jego argumenty „końskimi,“ dowodami „znarowionej szkapy.“ Było to nieco dosadne, ale zgadzało się z duchem Godwinowskiej mądrości.

Jeżeli mimo swej miękkiej, niewieścioczułej natury Shelley zdobył się na zerwanie związku z Henryetą, to i tu otrzymał sankcyę od Godwina, którego zdrowy rozsądek i przekonywająca siła z następujących wyziera słów: „Niedorzecznością jest żądać, ażeby upodobania i pragnienia dwóch istot ludzkich zgadzały się z sobą przez cały szereg lat. Zmuszać je do wspólnego i życia i działania, jest to narażać je na nieuniknione sprzeczki i zgryzoty. Przypuszczenie, że ja muszę mieć towarzysza na całe życie — wypływa z całej masy błędów, wypływa z niedołęztwa, nigdy z rozumu... Zazwyczaj młodość płci obojga, marzycielska a bezmyślna, schodzi się z sobą na pewien czas i to w warunkach pełnych omamień, a zaraz potem łączą ją przysięgą dozgonnej miłości. Jakie stąd następstwa? Prawie zawsze obustronne rozczarowanie. Instytucya małżeństwa — to system fałszu. Małżeństwo jest prawem i to prawem najgorszem... Dopóki w stosunku z kobietą nie pozwalam sąsiadowi memu dowieść jej, iż posiada on więcej ode mnie zalet, dopóty praktykuję jeden z najbardziej nienawistnych monopolów...“

W uszach kobiecych, a nawet w uszach mężczyzn zazdrosnych obrona taka brzmi pewnie jak chrapliwy dysonans. Ale że Shelley nie należał do ludzi przeciętnych, więc nie dziw, iż zawarte w niej pewniki psychologii poważył się stwierdzić praktycznie. I każdy anglik, uznający w wielkim liryku pogrobowca wojen o emancypacyę myśli i uczucia — uzna chyba w Dowdenie dobrego i sumiennego adwokata. Niektóre z kanonów Godwina tchnęły szerokim humanizmem i te jeszcze łacniej zjednały sobie serce poety. Podawszy moralność za synonim rozumu, tem samem grzech i zbrodnię uwalniał od cięższej odpowiedzialności. Oburzać się na przestępcę — toż to największy absurd! Winowajcą kierują przeważające w chwili spełniania czynu pobudki — działać naprzekór im nie może. Wiemy, że nawet poezya następnej, o wiele dojrzalszej epoki, podnosiła i po dzień dzisiejszy podnosi do ideału prawidło: *tout comprendre c'est tout pardonner* — ale lat temu siedemdziesiąt, hasło to miało urok szczególny, bo urok nowości. Uchwycił się go Shelley skwapliwie. Niezdolny do gniewu i żółciowych uniesień, zapewne błogosławił mędrca za to, iż pozwalał mu nie

*) W języku niemieckim udał się tu Krepkowi dowcipny kontrast „geistiges Gut“ i „geistige Getränke.“

nienawidzieć i nie wyklinać, a przytem nie urągać prawom rozumu.

Co prawda, tylko bardzo głęboko przejęci tą maksymą umieliby przyklasnąć konsekwencyi Shelleya, a jak utrzymuje Dowden, takich było niewielu. Gdy pod nieobecność męża Henryeta stała się celem zabiegów jego przyjaciela, ten, komu miano przyprawić starodawnym zwyczajem rogi, po powrocie nie czuł się zbyt szczęśliwym i druhowi wdzięcznym a nawet zerwał z nim, ale za to później, gdy traf ich zetknął z sobą w Londynie, odżyła dawna przyjaźń i wprowadził go na nowo do swego domu. Nie było to przecież safandulstwo hrabiego Guiciolli, który, by połowicy swej nie przeszkadzać, dobrowolnie usuwał się przed Byronem z buduaru i pałacu — ale zasada doktrynera. W listach do Henryety, gdzie mowa była o złamaniu wiary małżeńskiej, nazywał je błędem (*error*). Prawdziwie — gołębia łagodność!

Niejeden zadawał sobie pytanie, jak mogła nauka ludzi „wieszających na latarniach szlachtę“ przylgnąć do natury wskróś seraficznej. Dowden objaśnia sobie zagadkę tem, iż Shelley, pożerany żądzą przekształcenia świata i trawiony własną gorączką, w suchych dogmatach Godwina znajdował przeciwwagę szalonym swym rojeniom, pokarm duchowy i ciało dla swych mrzonek. Zresztą był on w gruncie rzeczy stoikiem, męczennikiem *in posse*, gotowym zawsze poświęcić się bez szemrania każdej szlachetnej sprawie. Panował nad wolą swą i świadomie heroizm tego pokroju opiewa w wierszu *Do śmierci.*

Człowieku! ducha twego zachowaj odwagę
Pośród burz, co wędrówkę ziemską mroczą!

albo w sonecie *Political Greatness*, gdzie mówi:

Człek, co na męża miano chce zasłużyć,
Musi nad sobą wciąż mieć panowanie.
W tej władzy musi być najwyższym. Niechaj
Zbuduje tron swój na zwalczonej woli
Niech tłumi bezrząd pragnień swych i obaw.

Ponad wszystkimi chaosami w duszy poety jaśniało niebo nieskażenie czyste i ciepłe: doradcą były mu niewzruszone zasady i wzniosła moralność i one to sprawiły, że go stawiają wyżej, niż Byrona, który miewał i zachcianki Cezarowskie i dla idei protestu gotów byłby stanąć po stronie ciemięzców, jeśli tylko sami byli ciemiężonymi. Była więc w Shelleyu podstawa z granitu, już niedostępna dla wewnętrznego ognia, którą łatwo było połączyć z twierdzą poważną i niemal posępną, jaką wyobrażała teorya Godwina. Zdaje mi się, że w ten sposób łatwiej pojąć sojusz dwu kontrastujących z sobą umysłów, a na to Dowden zbyt słaby kładzie nacisk... Natura poety, wskróś panteistyczna i, że tak powiem, wszechludzka, pełną była motywów szerokich, rozległych, które z prawdami filozofii dużo miały stycznych punktów i nawet zdolną uwierzyć w tak obce duchom przełomu twierdzenie, iż postęp ludzkości odbywać się może tylko krok za krokiem.

Dowden odróżnia trzy rodzaje postaci, królujących w życiu i literaturze. Pierwszy to ludzie siły, darzący świat wielkiemi dziełami ścisłości i prawdy. Drudzy, to Szekspir, Goethe i im podobni, co przeszli wiele nawałnic, ale w końcu przybili do portów; są oni mistrzami życia, znającymi i radość i troskę, i pracę i rozkosz, i tajnie miłości i śmierci, i zła i dobra. Stary Wil był i Hamletem, szarpiącym własną swą duszę i Learem, rzuconym na pastwę wichrów, ale nareszcie znalazł spokój i ukojenie w Stratfordzie swym, gdzie wiódł żywot czynny i pogodny rolnika. Goethe po wstrząśnieniach Wertherowskich i czczości, o którą go przyprawiło błąkanie się po labiryntach myśli, upostaciowane w Fauście, osiągnął posągową równowagę greka.

Do trzeciej kategoryi należą ci, co żyją tylko dla ideału; są oni jak dzieci, potykające się o ostre kamienie i kaleczące sobie ręce, ale zarazem oskrzydlone do szybowania po nieskończoności. Jednak tacy są sercu ludzkiemu najbliżsi i jeśli kiedykolwiek schodzą na manowce, trzeba im wspaniałomyślnie przebaczać, bo kochali więcej.

Ma słuszność Dowden, że do tej liczby należy i Shelley, ale na tem słońcu dostrzedz plamy, to sztuka nielada! Dokazać jej można tylko w kraju, gdzie, jak mówi Byron, „żyją największe brytany.“

N. Hirszband.

LITERATURA I SZTUKA.

PO ŚWIECIE.

VI.

Teatr hiszpański: D. José Echegaray. — D. Adelardo Lopez de Ayala. — D. Manuel Tamayo y Baus.

W chwili, kiedy Teatr Wielki wystawia *Galeotta*, godzi się pomódz kronikarzom szukającym tła pod sprawozdania, a równocześnie przedstawić czytelnikom naszego pisma choćby w skromnych zarysach główne figury spółczesnej hiszpańskiej dramaturgii. Mówiąc o kastylczykach (stosunki społeczne i literackie półwyspu ułożyły się dziś tak, że potrzeba bardzo stanowczo odłączyć od ruchu kastylsko-andaluskiego coraz to wzmagający się w zupełnie odrębnem łożysku prąd katalański), można całą żywotność ich sceny streścić w trzech imionach: Echegaray *), Ayala, Tamayo y Baus. Drugi z nich zmarł w r. 1879; ostatni, wstrząsnąwszy scenę tytanicznem dziełem, rokującem wielką rewolucyę, zamilkł, podrywając się tylko niekiedy utworami niedorosłymi do owego pierwszego lwiego skoku — tak, że prawie sam jeden, niezmiernie płodny Echegaray musi ratować honor madryckiego teatru.

A przecież jeszcze przed kilkudziesięciu laty teatr hiszpański stał mocno: na obcych wzorach i starych tradycyach, to prawda — ale stał. Gil y Zarate, Garcia Gutierez, Zorilla pływali dziko w romantyzmie Wik. Hugo; Hartzembusch, Breton de los Herreros, Ventura de la Vega, Narcisso Sera urabiali komedye według formułki Kalderona; granicy nawet tych dwu wpływów oznaczyć nie można: za błogich dni romantyzmu dystylowali wszyscy Hugona w Kalderonie i odwrotnie.

Dziś francuski towar zalał oczywiście hiszpańskie rynki zarówno z resztą Europy; prócz niego panoszy się tam komedya niemiecka; pojmijmyż teraz wielkość ciężaru, walącego się na jedne barki, a zrozumiemy, dlaczego, mimo że nieczęsto tworzy arcydzieła Echegaray, używa niesłychanej popularności, dochodzącej do nieprzestarzałego nigdy zwyczaju wprzęgania się po przedstawieniach w powóz jego nakształt mułów.

Jakie elementy złożyły się na tego pisarza? Przedewszystkiem pozostał u niego cały bazar Kalderonowskich błyskotek i gałganków: styl rozwichrzony, obrazy przesadne i ciągle duplikowane, albo znów konwencyonalne, jak ów po tysiąc razy oglądany u Kalderona:

Jeżeli w *sferę szafiru*
Wpisują ogniste gwiazdy
Człowieczego przeznaczenia
Niewykryte tajemnice — itd.,

cała stara maszynerya z zawoalowaną damą, kryjącym się kochankiem, mężem wchodzącym nie w porę; *graziosem, graziosą*, słowem wszystkie wytarte sprężyny komedyi *de capa y espada*; w komedyach pisanych wierszem, tradycyjne ośmiozgłoskowe szeregi w romancach, redondillach, kintillach itd. Dopiero pod tym znoszonym a nigdy niezdartym strojem żywioły znamienne i nowe, nowe nawet wobec dramaturgii francuskiej. Nie można dramatów Echegaraya porównać trafniej, jak ze związkami chemicznymi — jeszcze i z tej racyi, że poeta, nim począł pisać, był inżenierem i naturalistą; tworzy on jakby kombinacye z ciał i gazów a oblicza z matematyczną ścisłością rezultat tych połączeń. Pewne starcia i sytuacye muszą sprowadzić pewne katastrofy; człowieka pognębia fatalizm przyczynowości. Pierwiastek etyczny zabija w autorze obserwatora, a w sztukach tego prawdę; w tytułach i epilogach zamknięto treść dramatów; aktorzy są jeno ilustracyą. Komedya Echegaraya jest komedyą sytuacyj, wprowadzoną jako istotna nowość na miejsce komedyi zawikłań i charakterów. Trzeba jednak, bądź co bądź, na scenę wprowadzić ludzi; oto co czyni poeta: obdarza bohaterów swych namiętnościami, podniosionemi do najwyższej potęgi i tak puszcza ich przeciwko sobie: ze starć powstają efekty najbru[t]alniejszego realizmu; jest to jakby podpatrzona gdzieś w pickle walka potępieńców.

Z takim temperamentem Echegaray nie mógł długo utrzymać się przy komedyi, którą debiutował 1874 r. Obaczmy, jak mało dramatycznych pierwiastków posiada sztuka ta, będąca raczej uscenizowaną nowelką, a noszącą tytuł: *Księga sznurowa* *). Oto pomysł: Młoda żona przejmuje miłosne listy męża i w celu ukarania go wlepia je kolejno w księgę, a postarawszy się równocześnie o podobne listy od młodego człowieka, któremu zresztą nie sprzyja (widzimy pomysł Francillony) i wlepiwszy je naprzeciw mężowskich, podsuwa niewiernemu pewnego dnia księgę ową z moralną nauczką, że najwstrętniejszy w stadle małżeńskiem jest ten, który stronie słabszej daje powody zazdrości.

Jedną z tragedyj, które wywołały najwyższy entuzyazm, była: *Wesołe życie i śmierć smutna* **). Treść pierwszego aktu: Don Ricardo, młody rozpustnik, odstępuje kochankę Dolores przyjacielowi. Jest to niejako prolog; w drugim akcie (po latach 18) cel autora już osiągnięty zaledwo po podniesieniu zasłony, Ricardo ma teraz lat 50 i jest niedołężnym kaleką, chorym na uwiąd szpiku, przykutym do krzesła i zostającym na pastwie bezczelnej służby. Zjawiają się dwie figury: Carmen, córka owej Dolores i Alvaro, syn owego przyjaciela z pierwszego aktu, zastawiający od niejakiegoś czasu sidła na Carmenę i teraz śród zimowej zawieruchy wpadający za nią do domu Ricarda. Tam odbyła się nadzwyczaj rzewna scena poznania; Carmen opowiada naiwnie, że Alvaro przyrzekł wziąć ją za żonę. Ricarda ogarnia zgroza; chce ratować córkę — za późno, gdyż Alvaro oddaliwszy sługi, już wpadł do domu i wobec bezsilnego paralityka szamoce się z Carmeną. Nadbiega i matka jej Dolores, lecz obie kobiety są bezsilne wobec przemocy: wtedy Ricardo ostatnim wysilkiem podnosi się z krzesła, powala Alvara na ziemię i dusi, poczem sam pada i kona, podczas gdy za sceną rozjaśnia się dzień i światło oblewa grupę zbrodni, pokuty i niewinności. Możecie wyobrazić sobie, ile scen efektownych wydobył z tego oryginalnego tematu taki jak Echegaray poeta.

Weźmy jeszcze dramat jeden z ostatnich (1887): *Dwa fanatyzmy* ***), w trzech aktach prozą. Osoby: Wawrzyniec świętoszek fanatyk, zamykający w klasztorze żonę Rosario dla skrupułów religijnych i podający ją za umarłą; Marcin, wracający z Ameryki dorobkiewicz, cynik i materyalista bez serca, odpychający uwiedzioną za młodu kobietę Magdalenę, lecz zabierający jej syna

*) Czyt. Eczegaray.

*) El libro talonario.
**) Vida alegre y muerte triste.
***) Dos fanatismos.

Juliana. Julian kocha córkę Wawrzyńca Augustias i mają zaślubić; z przyjazdem Marcina rozpoczyna się walka dwu egoizmów i dwu fanatyzmów, wzrastająca w mistrzowskich scenach i odsuwająca coraz dalej związek dwojga młodych, zwłaszcza gdy od samej Magdaleny Wawrzyniec dowiedział się, że Julian jest nieprawym synem Marcina. Figury takich starców bywały dotąd typami komedyi; Echegaray uczynił je tragicznemi aż do potworności, jak w scenie, kiedy szydzą z siebie, opowiedziawszy wzajemnie historyę zbrodniczego postępowania z Magdaleną i Rosario, lub w tej, kiedy Marcin rozrzewniony schyla się ku Magdalenie, chcąc przyjąć w ramiona wzgardzoną matkę swego syna i w tejże chwili odpycha ją na nowo, dojrzawszy tryumf w gieście Wawrzyńca; lub w końcu, kiedy ten ostatni zatrzymuje córkę idącą do ślubu i rzuca na nią przekleństwo, poczem przerażona Angustias umiera. Widzimy, jak daleko odskoczył Echegaray od greckiej tragedyi: u niego ekspiacya odbywa się nie na bohaterze, ale na istotach, które niewinnie znalazły się w promieniu jego wszechniszczącego egoizmu i złości; tragiczność pojęta oryginalnie i w tym pomyśle niezaprzeczenie popolita.

Nie na innym fundamencie zbudowany *Galeotto* *), grany pierwszy raz 1880 r. Tu kara nie schodzi się z winą, wina nie schodzi się z przyzwoleniem winy. Gdzieindziej winny, gdzieindziej potępiony, gdzieindziej jeszcze uniewinniona ofiara. Sam tytuł jest symboliczny, nie pojęty bez komentarza. Czyta się mianowicie w *Piekle* Danta (V. 121):

Quando leggemmo il disiato riso
Esser bacciato da cotanto amante,
Questi, che mai da me non fia diviso,
La bocca mi baciò tutto tremante:
Galeotto fu il libro e chi lo scrisse:
Quel giorno più non vi leggemmo avante.

Galeotto jest powiernik ulatwiającego miłostki Lancelota i Ginewry, których historyę czytała z Pawłem Francesca; dla nich samych Galeottem, tj. stręczycielem — aby rzec przyzwoicie — była książka owa. Takim „Wielkim Galeottem“ w dramacie któż jest?.. Świat, społeczeństwo oszczercze, obmową sprowadzające katastrofę, która bez jego wdania się może by nie spadła. Nie chcemy streszczać dramatu — który znacie — cytujemy jedynie epilog:

Ernest.
Niech się nie zbliża nikt do tej kobiety.
Moja jest. Tak chciał świat. Wyrok przyjmuję.
W ramiona rzucił mi ją. Teodoro,
Chodźmy stąd. Skoro wypędzasz, słuchamy.
Sever.
Nakoniec? Nędzny!
Pepito.
Bezczelny!
Ernest.
Czem chcecie.
Ha, teraz macie słuszność: ty i wszyscy.
Zachciałeś pasyi? Masz—pasyę, szaleństwo.
Chciałeś miłości? Masz—miłość bez granic.
Chcesz więcej? Dobrze, aż się sam przerażę.
A rozpowiedzcie, rozpowiedzcie. Echo
Niech się rozniesie w bohaterskiem mieście.
Lecz jeśli pyta kto, gdzie jest infamis,
Gdzie bezeceństwa bezecny pośrednik,
To odpowiedzcie: tyś nim był bezwiednie,
A z tobą głupców języki...

Echegaray poświęcił się wyłącznie tragedyi; komedyę w wielkim stylu, komedyę obyczajową reprezentuje *Ayala*. Był to człowiek olbrzymiego talentu, mówca, dyplomata, podziwiany i pieszczony w salonach. Na północy śród tych pieszczot stałby się może Byronem; na południu poddał się otaczającej go oryentalnej prawie gnuśności. Dzieła jego wyszły w trzech tomach (1882—1884), ale cała sława opiera się na trzech komedyach: *Consuelo*; *Tyle od sta* *); *Szklany dach* **) — ostatnie dwie najlepsze. *Tyle od sta* jest to znakomite pochwycenie Balzakowego świata, całego legionu chciwców intrygujących wkoło szlachetnych i wysoce poetycznych postaci Pawła i Izabeli dla przeszkodzenia ich małżeństwu i ocalenia dożywocia. Ayala wprowadza na scenę świat nie jakiś egzotyczny, nadludzko potworny, lub anielsko piękny, ale rzeczywisty, stąd i morał jego posiada wartość bardziej praktyczną, niż Echegaraya; tak w drugiej komedyi *Szklany dach.* Tam nowy Don Juan, wyrafinowany światowiec, prowadzi szkołę galanteryi i teoryami bezwzględnego użycia, popieranemi praktycznie uwodzeniem żony najlepszego przyjaciela, zachwyca młodzież równej sobie sfery. Nemezis podnosi się nań z własnego dzieła. Carlos, najgorliwszy jego wielbiciel i uczeń, uwodzi mu kochankę. I dopiero w zakończeniu dowiadujemy się, co miał oznaczać tytuł sztuki, w słowach bohatera, hr. de Laurel:

...Kamieniami rzucałem
Na dach mojego sąsiada,
Rozkosz mi sprawiało tłuc go;
A w ślepocie nie spostrzegłem,
Że ja, że wszyscy nad głową
Posiadamy szklane dachy.

Ayala, czy w komedyi, czy w poezyi, jest artystą, pragnącym przeciwdziałać nieszczęsnej retoryce, pustej deklamacyi, niemitygowanej logiką fantazyi, obrastających niby pleśnią nawet takiego Echegaraya; wiersz jego rzeźbiony spokojnie, dyalog zręczny, na wzór francuskiego — słowem zupełne zerwanie z Kalderonem, po którym nie pozostało nic, prócz formy.

Gwałtowniejszą nie reformę już, lecz rewolucyę zamierzał Tomayo y Baus***), dziś sekretarz hiszpańskiej Akademii. Ni mniej ni więcej — chciał on do hiszpańskiej sztuki wprowadzić Szekspirowski duchowy pierwiastek: uczucia w rozwoju, według temperamentów, nie według przypadku; akcyę, bieżącą nie zawikłaniu i ku katastrofie za prawami przyczyn i skutków, leżących w bohaterach, nie zaś po za nimi. *Virginia*, jeden z pierwszych jego utworów, jest tragedyą klasyczną; komedya *Wielka dama* ****), na tle czasów Piotra Okrutnego, zawiera już sprężyny psychologiczne, występujące tak zasadniczo w *Dramacie nowym* *****), granym w 1867 r. i drukowanym natychmiast w licznych wydaniach. Dla naznaczenia wprost swego rewolucyjnego zamysłu, przenosi nas poeta w świat Szekspirowski, z Szekspirem samym jako aktorem. Treść zawikłana nieco, gdyż przedstawiająca dramat w dramacie i scenę na scenie (wzorem Hamleta), wymaga pewnej baczności. Mistrzowska wystawa znajduje się w pierwszej scenie: Szekspir, dyrektor teatru, trzyma w ręku rękopis, z którego rozdziela role między swych aktorów. Treścią wystawionej przezeń sztuki jest smutny dramat w domu hrabiego Oktawiusza, któremu wychowaniec Manfred—fatalność dwojga serc to sprawiła — uwodzi żonę, piękną Beatryczę. Do Szekspira zbliża się bufon Yorick, prosząc o rolę Oktawiusza, gdyż, jak mówi, śmiech sobie uprzykrzył. Szekspir wie, że w domu Yoricka, który zaślubił młodą aktorkę Alicyę i przyjął na wychowanie sierotę Edmunda, odgrywa się sytuacya ta sama, roli więc oszukanego męża dać mu nie chce — wreszcie ustępuje. Alicyę i Edmunda, którzy mają grać Beatryczę i Manfreda, zaczyna osnuwać pajęczą siecią nienawiść rywala Yorickowego, Waltona. W tym drugim akcie są sceny prześliczne, czy kiedy kochankowie wyrzucają sobie niewdzięczność i zdradę, czy kiedy podejrzliwy Yorick wzywa Alicyę, raz wściekły, raz czuły, aby mu wszystko wyznała. W trzecim akcie widzi się scenę i przedstawienie nowej sztuki. Aktorowie przechodzą sami siebie, wywołując ciągle burze oklasków. Yorick gra znakomicie zazdrosnego męża, Alicya i Edmund kochanków, Walton zdrajcę. W pewnej chwili Edmund, który widzi się odkrytym przez Waltona, podsuwa Alicyi bilet, namawiający ją do natychmiastowej ucieczki; Walton to widzi, wydziera jej bilet i oddaje Yorickowi w miejsce białej kartki, przygotowanej w rekwizytach. Tak dramat udany zamienia się na prawdziwy. Edmund i Yorick dobywają szpad, pierwszy pada śmiertelnie raniony... Publiczność klaszcze, zachwycona realizmem gry i dopiero w zakończeniu dowiaduje się o prawdzie. Szekspir wychodzi i w epilogu powiada: „Panowie, widzicie: Yorick w gorączce gry zranił aktora, który grał rolę Manfreda. To nie wszystko. Waltona znaleziono leżącego z przebitą piersią u wyjścia teatru. Módlmy się za umarłych i za morderców.“

Pomyśleć, jaki efekt grozy i przerażenia musi wywoływać tragedya ta na patrzących. Granica rzeczywistości i udania zaczyna się przed widzem zacierać, tak, że na razie nie może sobie zdać sprawy, czy istotnie tam na scenie nie grał się dramat prawdziwy. W tem zaś owładnięciu widzem uznać potrzeba największy tryumf poety.

Dramat katalański, zaledwo w poczęciu, nie może wykazać tak głośnych imion, jak Echegaraya, ale posiada odrębne talenty, jak Solera w komedyi, jak genialnego Angela Guimerę w tragedyi — o nich kiedyś przy sposobności mówienia o katalańskim ruchu literackim.

Egrot.

*) El Gran Galeotto.

*) El Tanto por ciento.

**) El Tejado de Vidrio.

***) W Hiszpanii familie katalańskie piszą się podwójnem nazwiskiem: ojca i matki. Żona zachowuje nazwisko rodziców, córka nazwisko ojca.

****) Rica hembra.

*****) Un drama nuevo.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Kazimierz Pułaski: *Szkice i poszukiwania historyczne.* Kraków. J. K. Żupański J. K. Heumann, 1887, str. 305.

M. I. Kariejew: *Najnowszy zwrot w historyografii polskiej* (1861—1886). Przekład z upoważnienia autora. Nakładem *Kraju.* 1888, str. 108.

Odrodzenie Czech podług Maly'ego opracował Jan Nitowski. Nakładem *Kraju.* 1888, str. 48.

Niemal z każdym rokiem wzrasta w naszem społeczeństwie zamiłowanie do rozpraszania mroków, pokrywających dziejową przeszłość. Dlaczego tak jest, a nie inaczej, czy ów prąd zawiera w sobie zdrowe i owocodajne nasiona, czy też jest polipem, rozrastającym się z krzywdą i szkodą innych gałęzi nauki, nie przesądzamy na razie. Stwierdzamy tylko istnienie takiego objawu.

Do licznego zastępu pracowników, którzy z zamiłowaniem poświęcają się badaniom historycznym w formę monografii, szkiców i krótkich rozprawek ujętym, należy również i p. Kazimierz Pułaski. Niedawno wystąpił on z łowem swych poszukiwań, któremu nadał tytuł, powyżej w nagłówku przytoczony. By je pokrótce scharakteryzować, powiemy, że są one pokrewne szkicom Dr. Antoniego J. Pokrewieństwo to jest bardziej wewnętrzne, aniżeli zewnętrzne. Za łącznik bowiem służy nie sposób opowiadania, forma stylu lub kompozycyi, lecz wspólność tematów. P. Pułaski, podobnie, jak i autor licznych *Opowiadań*, najchętniej przebywa i najswobodniej się obraca na t. zw. kresach, w dawnej Ukrainie, w południowo-wschodnich województwach byłej Rzeczypospolitej. Prace jego albo

dorzucają przyczynek do tak u nas skąpo uprawianej, pieluchami spowitej historyi cywilizacyi naszego kraju, albo też, idąc śladem dawnej metody historycznej, roztrząsają działalność jakiegoś bitnego wojownika, który swą piersią i orężem bronił tych ziem przed napadami wrogów, szczególniej zaś przed zagonami drapieżnych, okrutnych, a lękliwych niby hyeny tatarów.

Do pierwszych należą: *Dzikie pola* i *Gospodarka królowej Bony na kresach.* Dzikie pola to były „ogromne" przestrzenie ziem, po większej części pustych i niezaludnionych, począwszy od Dniestru, daleko poza Dniepr, a sięgające na południe aż do morza Czarnego.. Tutaj rozciągało się „to wiekowe pobojowisko, na którem raz wraz stawiano boje z tatarszczyzną, wciskającą się szlakami stepowymi." Miast i zameczków obronnych, które mogłyby skutecznie powstrzymać nieprzyjacielską nawalnicę na przestrzeni mil kilkudziesięciu, wzdłuż i w poprzek nie było prawie żadnych; jedyny Kijów stanowił główne ognisko siły obronnej kresów dnieprowych. Zwolna dopiero w Kaniowie i Czerkasach powstają dwa starostwa, często jednemu człowiekowi powierzane, jako dwie główne strażnice ziem ukraińskich. System obrony tego pogranicznego pasa w ostatecznem skrystalizowaniu się za Jagiellonów polegał tedy na starostach, jako władzy naczelnej, na podległej im kozaczyźnie grodowej i na swawolnych, zuchwałych, nikogo prawie nie słuchających kozakach dnieprowych, czy niżowych, bo przezwisko ich długi czas ustalić się nie mogło. Prócz tego w razie niebezpieczeństwa pod chorągwie starosty przybywała ludność okoliczna. Do takiego kroku zobowiązywała ją powinność, przywiązana do dzierżawionych przez nią królewskich gruntów. A nietylko szlachta i koloniści wiejscy stawali do krwawej potrzeby, lecz również mieszczanie czerkascy i kaniowscy, którzy w zamian za ten obowiązek korzystali z rozmaitych ulg w opłatach i podatkach.

Z monografii następnej przekonywamy się, że gwałtowna, przebiegła i żądna władzy królowa Bona była chciwą grosza gospodynią. Chciwość tą atoli w dobrze zrozumianym interesie własnym kojarzyła się z zapobiegliwością o posiadane majątki i przeradzała się zwolna w chęć podnoszenia ich stanu materyalnego, by tem większe módz ciągnąć zyski. Bar zatem, Krzemieniec i Kowel, trzy dzierżawy dane jej tytułem oprawy przez męża, podnoszą się i zwolna dochodzą do kwitnącego stanu. Pustki okrywają się osadami, wśród których przewidująca władczyni gęsto usiała zameczki, obsadzone dobrze płatną załogą, która miała strzedz ludność rolniczą przed napadami i rabunkiem.

Do drugiej kategoryi należy urywek z dziejów p. t. „Przyczynek do elekcyi Zygmunta I w Litwie i Polsce." Przynosi on jeden ważny szczegół. Oto po śmierci Aleksandra (19 sierpnia 1506 r.) panowie litewscy wbrew umowom, podług których winni byli wielkiego księcia obierać razem i równocześnie z panami polskimi, zaraz 20 października tego samego roku obwołali Zygmunta swym władcą. Pośpieszyli się zaś dlatego, by zapobiedz zamieszkom domowym, a w przededniu zbliżającej się wojny z wielkim księciem moskiewskim posiadać naczelnika państwa. Panowie polscy, przyjąwszy ich piśmienne uniewinnienie się i uznawszy słuszność tego ostatniego, naśladowczymi puścili się szlakami i dnia 8 grudnia t. r. spisali dyplom elekcyjny dla Zygmunta.

Jeszcze jedną kartę z panowania tego króla przynosi nam rozprawka p. n. „Wojna Zygmunta I z Bohdanem, wojewodą mołdawskim w 1509 roku." Skończyła się ta zawierucha chlubnie dla oręża polskiego, a z wojewody zrobiła od tej chwili wiernego sojusznika Rzeczypospolitej.

„Pierwsze lata publicznego zawodu Adama Kisiela (1621—1635)" oparł p. Pułaski na garstce listów, pisanych własną ręką późniejszego wojewody kijowskiego. Niestety znalazł je w stanie zniszczonym i na wpół zbutwiałym. Dokumenty owe rzucają niejakie światło na tego wojownika i męża stanu zarazem, który zasłynął głównie w czasie wojen kozackich, „wśród tych ciągłych choć bezskutecznych układów i negocyacyj z Chmielnickim i kozakami." Posiadał zaufanie królewskie, często posłował tedy od króla do sejmików lub naodwrót na sejm. P. Pułaski główny nacisk kładzie na tę okoliczność, że zaraz na początku działalności u Kisiela widać ową nić przewodnią całego jego życia, dążność wyjednania dla dyzunitów, do których sam należał, równych z unitami praw i przywilejów.

„Ostafi Daszkiewicz", to życiorys głośnego wojownika krosowego w zaraniu wieku XVI. Autor idzie tu za Bartoszewiczem, trochę tylko nowych dodając szczegółów.

Zamiłowaniu swemu wreszcie do genealogii, przebijającemu się w pracach poprzednich—a znamię to cechuje także i opowiadania dr. Antoniego J. — popuszcza p. Pułaski cugle w pracy, ochrzczonej napisem: „Książęta Holszańscy." Z tej monografii historyczno-genealogicznej wyjmujemy znany zresztą szczegół, że Zofia (Sońka) Holszańska, córka księcia Andrzeja Iwanowicza była czwartą żoną Władysława Jagiełły. Wyswatał mu ją Witold.

P. Pułaski oparł swe szkice na olbrzymiej ilości pracowicie zebranych źródeł, z których umiejętnie a krytycznie wyciąga i zestawia szczegóły. Tworzy się w ten sposób mozajka, wiernie i bezstronnie odtwarzająca przeszłość. Osobistych poglądów historycznych autor nigdzie nie zdradza, co nawet nie grzechem, jeno zaletą nazwać można, jeżeli zważymy na szczupły zakres badania, jaki sobie naznaczył. Wszelkie tedy uogólnienia lub wyciąganie wniosków byłyby błędne.

P. Kariejew w cennem swem studyum przebiega krytycznem a sprawiedliwem okiem dzieje polskiej historyografii od roku 1861, to jest od chwili, w której podług niego kończy się niby cichnący akord lub dogasający płomień wpływ Lelewela na dziejopisów naszych. W krótkim wstępie charakteryzuje naprzód Naruszewicza jako „klasyka," wysuwającego na pierwszy plan bohaterskie czyny, a nietroszczącego się wcale o zbadanie duchowego i społecznego życia narodu. W skutek tego sposobu traktowania przedmiotu rozwija się idealizowanie przeszłości, które barwnym kwiatem na cienkiej a wiotkiej łodydze wykwita pod piórem Lelewela i jego naśladowców. Po 1830 r. na obczyźnie polityczni wygnańcy doprowadzają idealizm historyczny, niby gąbkę romantyzmem napęczniałą, do najwyższych szczytów w t. zw. mesyanizmie. Zmiana dopiero w metodach badania, wnioskach i wywodach datuje się od śmierci Lelewela, a raczej od wypadków 1863 r. Najznamienitszym zaś podług p. Kariejewa tej nowej epoki dziejopisem, który niby śmiecie wyrzucił z dziedziny badań historycznych nieszczęśliwy a długotrwały obłęd: obronę i apoteozę Polski anarchicznej, jest Michał Bobrzyński w swych *Dziejach Polski w zarysie.* Za nowość w dziele krakowskiego profesora uważa p. Kariejew po pierwsze sąd krytyczny na przyczyny upadku Polski. Są one czysto wewnętrznej natury, a najważniejszą z nich jest brak silnej władzy rządowej. Ta ostatnia nie rozwinęła się już to dlatego, że pozostaliśmy w tyle za zachodnią cywilizacyą, już to, że mieliśmy ludność w stosunku do obszaru kraju za małą, a nadto najlepsze żywioły rzucały się na wschód, na Ruś i Litwę, „w skutek czego siły, które w kraju pozostały, zmniejszone i osłabione, nie mogły spełnić zadania — nie mogły stworzyć nowożytnego rządu." Drugą nowością są zapatrywania co do stosunku rusko-polskiego. I tu Bobrzyński, jakkolwiek wielu rzeczy niedomawia i pozwala jedynie domyślać się, porzuca swych braci-historyków i śmiało orzeka, że błędem było ze strony polskiego społeczeństwa posuwać się na wschód, a tracić zachód, kędy rozsiadły się plemiona, najbliżej związkami pokrewieństwa z nami splecione. Polityka polska względem żywiołu ruskiego za wzorową i dodatnią uchodzić w każdym razie nie może. Tak samo kuleje zachowanie się Polski i stronnictwa t. zw. reformy wobec Rosyi przy schyłku życia Rzeczypospolitej.

Takim jest suchy szkielet rozprawy p. Kariejewa, świadczącej, że historyografia nasza i jej teraźniejszy kierunek zajmuje także sąsiednich uczonych. Tutaj nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że i nasza również literatura posiada samodzielną a przewybornę pracę, traktującą o tym samym przedmiocie. Wyszła ona z pod pióra W. Smoleńskiego i nosi tytuł: *Szkoły historyczne w Polsce* (*Ateneum*, 1886, IV).

Trzecia wreszcie książka jest opowieścią o losach drzewa, które ludzkość mieniła uschniętem; chciała je tedy ściąć, na kawałki porąbać i w piec kuchenny między ognisty żar rzucić. Płonnemi jednak okazały się owe przewidywania. Wystarczył jeden świeższy powiew wiatru, jeden deszcz majowy i trud kilku ludzi dobrej woli, którzy obcięli dzikie wilki, obrastające pień i wyciągające z niego żywotnych sił ostatek, by drzewo ponownie okryło się liściem i wydało kwiat i owoc stukrotny. Odrodzenie Czech bada autor prawie wyłącznie ze strony politycznej, pomija zaś odrodzenie języka, literatury i sztuk pięknych. Nadto niedostatecznie, zdaniem naszem, wykazał, że odrodzenie to dlatego tylko tak prędko nastąpić mogło, iż czesi są narodem wielce zamożnym, a pieniądze w agitacyach politycznych posiadają wartość olbrzymią, następnie są społeczeństwem jednolitem, które nie posiada szlachty, stającej zawsze w poprzek wszystkich życzeń ogółu, wreszcie posiadają duchowieństwo, gorliwie idące ręka w rękę ze społeczeństwem. Po inne szczegóły, świadczące o umyśle politycznym czechów, o ich jasno określonym celu, do którego dążą, i o zdobyczach już osiągniętych odsyłamy czytelników do tej niewielkiej, a pełnej treści książeczki.

A. N.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Odpowiedź na wiele pytań pod jednym adresem. — Prasa warszawska w ręku żydów. — Kto to jest żyd. — Sprawdzenie kłamstwa i jego źródło. — Antisemityzm u nas. — Waga p. Polikratesa i jego trzy grosze. — Zamroczone natchnienie. — Piskorzowa odpowiedź. — Krótki wykład o Meletusie. — Skok wyobraźni. — Nowy hetman. — Interview z ministrem pomnikowym.

Panu J. Żurkowskiemu, aptekarzowi w Saratowie.

Dziś dopiero odpisuję na list pański, gdyż znalazłszy w nim pytanie, które często od dalszych czytelników ku nam się zwraca, postanowiłem odpowiedzieć na nie publicznie i szczegółowo. Mając *Prawdę*, wiesz Pan, że ona do zaślepionych wielbicieli prasy warszawskiej nie należy; niepodejrzanym więc powinien być nasz sąd, gdy oświadczymy, że to, coś Pan o tutejszych pismach czytał lub słyszał, jest bezmyślną paplaniną i niecnem oszczerstwem. Istnieje w Warszawie dziennikarska fabryczka, wyrabiająca tego rodzaju błoto, które w celach łatwo zrozumiałych znajduje odbyt na rynkach, prowadzących handel artykułami

nienawiści dla nas. Głównym, albo raczej jedynym wyrobem tej fabryczki jest łgarstwo, że prasa warszawska znajduje się przeważnie w ręku żydów lub pozostaje w stosunkach zależności od ukrytych wpływów krępujących jej swobodę. Przedewszystkiem należy się porozumieć, kto to jest żyd w znaczeniu społecznem? Dla jednych — jest to wyznawca Starego Zakonu, dla drugich — starozakonny semita, dla innych (i dla nas) — starozakonny semita, obyczajowo, zwyczajowo i językowo należący do osobnej społeczności, pod tem mianem znanej; dla innych wreszcie — każdy liberał. Kategorya trzecia pism polskich nie wydaje, jeżeli zaś dla sprawdzenia owego kłamstwa weźmiemy pierwszą i drugą, to okaże się, że na 56 organów prasy warszawskiej tylko 8 pozostaje „w ręku żydów“ a zaledwie w dwu, z których jeden jest handlowym a drugi wyznaniowym, redaktorami faktycznymi są sami wydawcy. Owa tedy plotka, pożyczona z Wiednia, gdzie ma swoją podstawę, byłaby głupstwem ogołoconem nawet z pozorów, gdyby nie posługiwała się klasyfikacyą, według której żydem jest każdy, kto domaga się równouprawnienia żywiołów społecznych i powołuje izraelitów do wspólnej pracy. A więc żydem jest redaktor, który stawia pod pręgierzem nietolerancyę, żydowskiem pismo, które pomieszcza artykuły autorów niechrzczonych itd. Według tej miary $^9/_{10}$ prasy warszawskiej pozostaje „w ręku żydów.“ Antisemityzm należy do najbrudniejszych wypływów, jakie kiedykolwiek trysły z natury ludzkiej, bo w ścisłej analizie przedstawia mieszaninę fanatyzmu, ciemnoty, dziczyzny i spekulacyi. Wyraz „żyd“ stanowi dla niego *Spitzname*, rodzaj obelgi, którą przylepia stronnictwom i ludziom nienawistnym z zupełną świadomością nieprawdy swego oszczerstwa. W obecnem rozkiełznaniu nie występuje on przeciwko nieprawościom ekonomicznym i moralnym właściwego żydowstwa, ale przeciwko dążnościom humanizmu, i dlatego autor słynnej broszury *Nędza w Galicyi* słusznie go mianuje „objawem powrotu do barbarzyństwa.“ Że taką jest jego natura, że mu wcale nie chodzi o żydów, ale o znieważenie postępu we wszelkiej postaci i na każdej wyżynie, świadczą niecne plugastwa, rzucane na cesarza niemieckiego. Fryderyk III w swej odezwie nie uraczył żadną łaską żydów, wspomniał tylko o tolerancyi religijnej i zamiarach rządzenia sprawiedliwie. I jakże płazy Stöckerowskiego chowu odpowiedziały mu, nie bacząc na dostojeństwo i cierpienia konającego monarchy? Oto nazywają go: *Judenkönig Cohn*, a na drziach zamkowych przybili kartę z wykrzykiem: *Es lebe König von Juden*. Jeżeli taka ohyda rozpuszcza język w oświeconych Niemczech przeciwko cesarzowi, to jakaż musi być i jest u nas przeciwko literatom i pismom! Skoro narodził się u nas antisemityzm, zadziwiać by powinno tylko, gdyby był innym. Pytać raczej należy, czemu nie jest jeszcze wstrętniejszym? Są pewne wady i niecnoty, częściej występujące śród żydów i nadające prawo opinii publicznej pociągania ich za to do odpowiedzialności społecznej. Prawa tego nie myślimy przeczyć i nieraz korzystamy z niego. Ale ta etyka nie ma nic wspólnego z antisemityzmem, z ruchawką dzikich instynktów, napastującą światłych i uczciwych obywateli kraju z tytułu ich pochodzenia i klasyfikacyi meldunkowej, a pod płaszczem wyznaniowym i rasowym uprawiającą rozbój polemiczny, oszczerstwo i zwykłą łobuzeryę kocich muzyk pod oknami przybytków postępu. Żadne społeczeństwo dla dogodzenia garstce złych warchołów nie może tolerować takiego znieważenia swych członków, zrosłych z nim organicznie i przenikniętych jego duchem, tem mniej zaś nasze, które nie ma pierwiastków dodatnich do marnowania, które powinno pod swe skrzydła skupiać i do swego łona przytulać każdą jednostkę, pragnącą należeć do swojskiego stada. My marzący jedynie o zachowaniu życia, my słabi, ubodzy i chorzy, my odwołujący się ciągle do sprawiedliwości i żądający równouprawnienia, my—opluwający lekkomyślnie i głupowato już dziś tysiące ukształconych, prawych i do rodzimego gniazda przywiązanych żydów, my dziobiący ich przed pójściem do garnka — zaiste, trudno wyobrazić sobie tragikomiczniejsze widowisko. Na szczęście ci „my“ — to jakaś szczypta naszej prasy, której znaczna większość „pozostaje w ręku żydów.“ Więc niech dalej brzmi: hep! hep!, bo Warszawa jest dość wielką, ażeby miała swych Gavroche'ów.

Zdaje mi się, że na interpelacyę odpowiedziałem jasno; drugiego jej posądzenia, pomawiającego nasze pisma o jakąś zależność tajemną, o sprzedane milczenie itp.— nawet rozbierać nie warto. Przyprzążmy tę potwarz do poprzedniej, niech obie razem ciągną godnie śmieciarski wózek antisemityzmu.

Niwa przypomina mi ową wagę, wystawioną na miejscach publicznych, która wskazuje ciężar, gdy ktoś, stanąwszy na jej desce, wrzuci pieniążek w gębę umieszczonego przy niej lwa. Zachodzi tylko ta różnica, że p. Polikrates, właściciel tego przyrządu *Niwy*, stawiając na nim literatów, nie wymaga od nich datków, lecz sam wciska własne trzy grosze w pyszczek lwa i pozwala im bezinteresownie obejrzeć na odsłoniętej tarczy, ile ważą. Wystarcza mu najzupełniej zadowolenie osobiste ze sztuczki miedziaka. Czy miara jest prawdziwą, ścisłą — to go mało obchodzi. Ze szczególną zaś skwapliwością waży on tym sposobem strony polemizujące z sobą. Jest to najulubieńsza jego zabawka. Ile razy dwa pisma lub dwu literatów rozpocznie spór, można grać na pewny zakład, że p. Polikrates natychmiast zjawi się ze swym trzygroszniakiem i wagą. Ustawia on mnie na niej prawie w każdym numerze, a, jak czytelnicy wiedzą, bardzo rzadko przeszkadzam mu w dogadzaniu tej słabostce, dość niewinnej. W ostatnim zeszycie również zważył mnie porównawczo z p. (—X—) w sprawie sporu o pojedynki. Przekroiłem gorzko-kwaśną cytrynę tego drzewa wiadomości, gniotłem ją starannie i wyznaję, że oprócz kropli zamiaru okazania się złośliwym nic więcej wycisnąć nie mogłem. Potrzebaby tę kroplę zbadać niezmiernie czułymi odczynnikami chemii literackiej, ażeby wykryć jej pierwiastki. W polemice z *Ateneum* powiedziałem, że można jakiegoś czynu (pojedynku) nie *uznawać* bezwarunkowo a jednak spełniać go pod naciskiem przymusu, że kto uważa sądy honorowe za najwłaściwsze sposoby rozstrzygania sporów o cześć ludzką i zaznacza, że sądy takie odbywają się, nie powinien jednocześnie nazywać pojedynku *jedynym* w pewnych wypadkach środkiem zmycia plamy honorowej. P. Polikrates, oblawszy ten wywód żółtaczkowym humorem, dodaje: „Otoczenie społeczne nie zwykło nikogo prowadzić za kołnierz na plac spotkania... a po nad represyę moralną „posłom prawdy“ zawsze stawiać się przystoi.“ Na czele każdego rozdziału Koranu znajduje się kilka liter tajemniczych, których znaczenie jest tylko Bogu wiadome. Otóż uwaga p. Polikratesa należy do liczby tych znaków, zrozumiałych jedynie dla Allacha i Mahometa *Niwy*. Wybieram to przypuszczenie delikatniejsze zamiast innego, łudząc się przekonaniem, że Piłat umywający ręce przy każdej sposobności od udziału w sądach obelżywych żargonu polemicznego, nie chciał nim zapewne swego pióra umazać. Wolę wierzyć, że chciał powiedzieć coś bardzo mądrego i przyzwoitego tylko natchnienie mu się zamroczyło. Dzięki temu mistycyzmowi cała apostrofa do mnie ma zaledwie wartość trzygroszniaka wsadzonego w wagę dla oznaczenia różnicy ciężaru między mną a współpracownikiem *Ateneum*. Ponieważ wszakże różnica ta niepodana w kilogramach, zatem tylko ogólnie donieść mogę czytelnikom naszym, że mózg p. Polikratesa łącznie z mózgiem jego klienta z *Ateneum* więcej waży od mojego. Bo o to chodziło? Proszę mi przyznać, że ile „przedmiotowości“ znalazłem w tej „nieosobistej“ papce, tyle jej bezstronnie na własną szkodę wydobyłem.

Przyjaciel p. Polikratesa p. (—X—) z *Ateneum* ma gust nie zły: pragnie on, ażeby grzeczność cudzych odpowiedzi powiększała się równolegle z brutalstwem w jego zaczepkach. Gdy więc on oskarży kogoś o „podrabianie“ słów przeciwnika, o porównywanie się z Sokratesem, a złą wolą itp., to nie należy mu wykazywać przeinaczeń, kłamstwa i złej woli, tylko trzeba ukłonić się i rzec uniżenie: panu dobrodziejowi uwiązł w brodzie kawałek marchewki. Ostatnia jego prawdziwie piskorzowa próba wyśliznięcia się z ręki, która go przyłapała na „podrabianiu,“ budzi szczerą litość. Usprawiedliwia on się bowiem „cytatą“ jakiegoś pisma, „wypadkowo (!), tylko co do formy *zmienioną*,“ co „jest jednak sprawą między nami (nim) a tem pismem“ (cudowna zasada!), a ponieważ twierdzenie, z naszego artykułu rzekomo wyjęte, nie było „cytatą,“ nawet „wypadkowo zmienioną,“ więc można było je „podrobić.“ Można było tem bardziej, że „Meletus ma racyę istnienia *tylko* przy Sokratesie, inaczej *Meletusem być przestaje*.“ Gdyby p. (—X—) posiadał tyle znajomości historyi greckiej, ile historyi baby broniącej się przed żołnierzem (którą szczegółowo opisał), wiedziałby, że Meletus był to lichy poeta, znany z napastniczości, który istniał sam przez siebie. Ponieważ zaś ośmieszył go Arystofanes, więc stosując logikę p. (—X—) można również powiedzieć: kto wyszydza przeciwnika, nazywając go Meletusem, uważa siebie za Arystofanesa, kto mianuje go Dmochowskim, uważa się za Mickiewicza, Menztlem— za Heinego itd. Przecież to chyba za zbyt naiwne. P. (—X—) „czuje,“ że w dalszym sporze „redakcya *Ateneum* z pląsającego benedyktyna będzie zaawansowaną na jezuitę *utrzymującego lupanar*.“ Ślicznostka polemiczna! Czyżby według *Ateneum* cela mnisza tak blizko sąsiadowała z lupanarem, że trzeba tylko zburzyć oddzielającą je ścianę, ażeby oba te przybytki połączyć razem? Przepraszam p. (—X—) za zawód, ale szukając porównań, nie mogę iść w kierunku, który mi jego wyobraźnia wskazuje. Zresztą dziś przeczytawszy zawiadomienie, że ten szanowny mąż „odróżnia wartość postępu w zasadzie od wartości osobistej pojedynczych jego apostołów i reaguje przeciwko nieprzyzwoitym zaczepkom,“ jestem zbyt zmęczony śmiechem. A gdy się wyśmieję, zawołam do naszej roty: Towarzysze, naszym hetmanem jest obecnie (—X—), ten, co okrył swe imię chwałą, walcząc, „dla postępu w zasadzie.“ Jego znak bojowy — niech będzie godłem chorągwi. Pod nią zwyciężymy!

Dumą męża tego przewyższa tylko p. hr. Przezdziecki, którego p. L. Jeniko „interview'ował“ w sprawie pomnika dla Mickiewicza i treść rozmowy ogłosił w *Gazecie polskiej*. Minister pomnikowy kazał uspokoić publiczność, że wraz z towarzyszami pamięta o jej interesie, że nawet wysłucha jej życzeń, ale wydanych postanowień gabinet nie uchyli. Ponieważ jednak cała tajemnica stanu odsłoniętą być jeszcze nie może, więc hr. P. odmówił odpowiedzi co do miejsca, gdzie pomnik stanie. Wogóle zalecał spokój, umiarkowanie w sądach i ufność do pięciu ministrów. Cały ten szeroko opisany *interview* głęboko mnie rozczulił. Bo jak to pięknie, że członkowie komitetu pomnikowego w ten sposób przemawiają do ogółu!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Czy drogo, czy tanio w naszych zdrojowiskach? — Obłąkani po wsiach. — Projekt *Gazety lubelskiej*. — Faworyzowane i zaniedbane instytucye w Radomiu.—Ambulatoryum dla przychodzących chorych.— Pomiary antropometryczne p. Suligowskiego.—Kruche zęby młodzieży. — Sędziowie i wybory gminne.

Medycyna poruszyła bardzo ważną, zaniedbaną sprawę: czy drogo, czy tanio w naszych zdrojowiskach? Kto wypróbował zagraniczne i swojskie wody, ten łatwo się zdobędzie na porównanie niezbyt korzystne dla krajowych miejsc leczniczych. Nasi (?) przedsiębiorcy, bacząc na jeden kierunek—jaknajgorliwsze obdarcie gościa, zapominają o najważniejszem, że kto raz przez wysoki próg koziołka przewróci, omijać go nadal będzie. Obejrzmy szczegółowo te wysokie progi, jako główną przyczynę zniechęcenia do swoich miejsc kąpielowych. Za najem jednego pokoju „o średnich przymiotach,“ w umeblowaniu składającem się z najniezbędniejszych sprzętów i pościeli, z usługą, płaci się teraz na dobę: w Birsztanach, Busku lub Ciechocinku po 60 kop. (około 70 kr.). Pokój „przyzwoicie“ umeblowany kosztuje obecnie na dobę w zakładach zdrojowych Królestwa Polskiego od 120 — 150 kop. Jeżeli w tej ostatniej miejscowości do arcywysokich cen najmu lokalów — powiada *Medycyna* — dodamy zaprowadzony tam zwyczaj w nowomodnych niby willach (właściwie lichych drewnianych domach), pobieranie opłaty: za każdorazową wysyłkę po za dom służby, np. do apteki, po doktora itd. po 10 kr., za jednorazowe przyrządzenie samowaru do herbaty 25 kr., to dzienna cena najmu pokoju może tam dojść do bajecznie wysokiej kwoty. Tymczasem w obcokrajowych zakładach: we Franzensbadzie, Gleichenbergu, Karlsbadzie, Marienbadzie, Meranie za wykwintnie umeblowany pokój płaci się na dobę 1.60 do 2 złr. Zwróćmy przytem uwagę, iż nasze zdrojowiska posiadają przeważnie domy drewniane, a więc o wiele (najmniej 15—20 razy) mniejszego nakładu na ich budowę wymagające, niżeli zagraniczne kamienice kosztowne. Dalej: urządzenie, umeblowanie, zdrowotne zalety mieszkań itp. znacznie są niższe, niżeli zagraniczne. Ten sam stosunek znajdziemy w troskliwości, czuwaniu nad wygodą lokatora.

Charakterystyczne, iż namiestnictwo galicyjskie wydało w r. 1882 dla Krynicy rozporządzenie „względem trwania najmu i terminów wypowiadania mieszkań zdrojowo-gościnnych,“ które wyłącznie bierze w obronę właściciela domu, a wcale nie uwzględnia i nie ubezpiecza praw gości. Skutkiem tego zdarzało się, iż właściciel wymógł na lokatorze sześciotygodniową cenę najmu mieszkania ledwie dwa tygodnie używanego. Nie wiem, do jakich wyników dojdzie autor artykułu w piśmie lekarskiem, rozpatrując porównawczo szczegóły inne (ceny wód mineralnych i ich produktów, służących do handlowego wywozu, ceny wszelkiego rodzaju kąpieli mineralnych, wysokość opłaty zdrojowej i składki na orkiestrę itd.). Tymczasem z powyższych faktów sądząc, można mniej potępiać w imię patryotyzmu tych, co wolą przejechać się dalej i zaznać wygód, lepszego traktowania i... mniej stracić pieniędzy, niż w kraju. „Pozostawienie nadal tej sprawy w jej dotychczasowym stanie — mówi autor — nie posłuży do rozwoju naszych zakładów zdrojowych, ani przysporzy odwiedzania przez chorych; owszem— może spowodować wcale niekorzystne dla nich skutki.“ Następnie radzi wdanie się władzy ku zaprowadzeniu we wszystkich naszych zakładach zdrojowych ustawy regulującej cenę i prawa najmu mieszkań gościnnych. Smutna ostateczność.

Do kwestyj zagrzebanych w zapomnieniu należy także dola obłąkanych, wałęsających się bez opieki po wsiach, a raczej po za płotami, w polu lub lesie. Patrzą na nich ludzie obojętnie, jak na psa przybłędę. Rodzina radaby jaknajdalej takich biedaków usuwać, bo i cóż poczenie? Na tkliwość jej członkowie czasu nie mają. Waryata zaś w mieszkaniu zostawić, gdy wszyscy idą po za dom do roboty, niepodobna — wieś może pójść z dymem. Oddać do specyalnego zakładu znowu jest trudno ze względu na znaczny koszt. Nie dziw, że skutkiem tego ci biedni tułacze umierają pod otwartem niebem zapomniani. *Gazeta lubelska* podaje bardzo słuszny projekt utworzenia funduszu z drobnych składek na pielęgnowanie chorych umysłowo w szpitalach. Nieznaczna kwota, opłacana corocznie z osady, czy morgi, utworzyłaby sumę, wystarczającą na utrzymanie w szpitalu obłąkanych. Zamiast zbierać koszty kuracyjne — twierdzi pismo — za kilka lat odrazu za chorych leczonych w szpitalach i stąd przeznaczać z morgi czy osady poważną sumę jednorazowo do poboru, byłoby lepiej corocznie określać jakąś małą kwotę i tworzyć fundusz stały powiatowy, czy gubernialny, z przeznaczeniem na wydatki lecznicze dla chorych i obłąkanych.

Może nareszcie w Radomiu ubodzy chorzy doczekają się lepszego losu, niż dotąd. Otwarto tam w zeszłym miesiącu przy szpitalu św. Kazimierza ambulatoryum dla przychodzących. Nędzarze będą leczeni darmo, niezamożni mogą korzystać z porady daleko tańszej, niż w Warszawie, bo tylko po 15 kop. Nadto prawdziwie biedny otrzymuje od lekarza szpitalnego upoważnienie do pobierania bezpłatnego lekarstwa. Dziwnie rażącym jest fakt, iż w mieście dwudziestotysięcznem tylko szczupła garstka ludzi, słynących pod utartą nazwą „dobrej woli,“ objawiła czynne współczucie dla cierpiących podwójnie, bo fizycznie i materyalnie. Ogół zamożny ma tam faworyzowane instytucye, które obdarza swą łaskawą dobrocią... za pośrednictwem zabaw. Za to w upośledzeniu są szpitale; rzekłbyś, iż tamtejsi ludzie cieszą się rozkwitem zdrowia i sił. Przeraziłby się jednak, ktoby zblizka chciał to zdrowie zbadać. Weźmy tylko nadzieję i podstawę przyszłości — młodzież szkolną, z którą długi czas miał do czynienia p. Felicyan Suligowski, lekarz miejski i gimnazyalny. Ogłosił on drukiem ciekawy rezultat „pomiarów antropometrycznych.“ W broszurze swej zwraca uwagę na gwałtowne psucie się zębów. W wieku już młodzieńczym około 50% ma spróchniałe trzonowe trzecie dolne, a około 20% jeszcze i górne. W liczbie badanych 976 spotkał jednego ucznia, który nie miał nigdy zębów, twarz jego posiada wyraz starca. Strasznie pomyśleć, do jakiego stopnia dojdzie w przyszłości nasze zniedołężnienie fizyczne.

Gazeta radomska od pewnego czasu usilnie stara się zwrócić uwagę ogółu na doniosłe sprawy wiejskie. Niedawno *Kuryer warszawski* dał radę „ludziom mądrzejszym, po gminach zamieszkałym,“ przyłożyć większego starania i wpływu na wyborców wiejskich wogóle, iżby na stanowiska sędziów gminnych szczególnie dostawali się ludzie znani z rozumu i uczciwości. Z tego powodu p. Kuźnicki, obywatel z Radomskiego, szeroko rozjaśnia tę samą kwestyę w organie miejscowym. Oprócz sędziów gminnych, którzy zdołali sobie zaskarbić uznanie i zaufanie ludu, są jeszcze dwa rodzaje: jedni dobijają się tego stanowiska dla pewnej powagi i tytułu, który im dogadza, drudzy rekrutują się zwykle ze „spekulantów życiowych.“ Pierwsi nic nie robią, lub bardzo niewiele, bo im brakuje chęci do pracy, a często i zdolności. Wystarcza im tytuł. O drugich autor niewiele może powiedzieć, gdyż oni „dobijają się sędziostwa nie dla samego tytułu i traktują rzecz ze swego punktu widzenia, który uważają za najdogodniejszy. Ale obywatelstwo wiejskie za takiego nie odpowiada i odpowiadać nie może, bo on z grona jego nie wychodzi.“ Wielkiego wpływu inteligencyi przy wyborach po gminach trudno wymagać — jak utrzymuje p. K. — skoro stosunek liczebny wyborców włościan do właścicieli większej własności, i to jeszcze o przeciętnej średniej zaledwie inteligencyi, wynosi 1 do 50, 80 lub stu. Nienormalna powyższa przewaga włościan, o nizkim poziomie umysłowym, wrażliwych na pokątne wpływy, chętnie przyjmujących poczęstunki przedwyborowe w karczmie od ubocznych agentów, działających z czyjegoś ramienia, zagłusza często trafny sąd nielicznych jednostek światłych i tamuje wybór człowieka odpowiedniego. Sprzyja temu i to, że w każdej wsi na kilkunastu lub kilkudziesięciu włościan jest zawsze ledwie kilku uważanych w gromadzie za wysoce mądrych. Są to zwyczajni krzykacze; za ich zdaniem cała wieś bez namysłu podąży. „Widoczne to bywa na wyborach a często i śmieszne — powiada p. K. — jak kilkunastu tych prowodyrów chłopskiej opinii i chłopskiego zbiorowego rozumu rządzą całemi setkami poczciwych i powolnych Maćków bez osobistego zdania i woli.“ Z wielu uwag p. Kuźnickiego można wnosić, że sam szczerze się dotyka spraw ludowych w życiu praktycznem. Jedna daje do myślenia: wielkiego wpływu inteligencyi na chłopów trudno wymagać, gdyż jej stosunek do tych ostatnich jest 1 do 50, 80, 100. Więc ta „inteligencya“ albo bardzo jest nieudolną, albo ciężko leniwą, skoro się nie może udzielić dodatnio najwyżej setce ludzi ciemnych.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Graždanin pisze:

„*Bić albo nie bić*,“ zaczyna swój artykuł wstępny *Russki Kuryer*, ten niestrudzony rycerz postępu liberalnego, zapewniając, iż powyższe pytanie ma dla nas w danej chwili nieledwie wszechświatowe znaczenie, naturalnie dzięki nam, *wstecznikom*, którzy chcielibyśmy ni mniej ni więcej, jak „*wymazać z historyi epokę wielkich reform ubiegłego panowania*.“

A przecież w samej rzeczy pytanie „bić albo nie bić“ podobne jest poniekąd do głośnych słów Hamleta, bo od tego, w jakim duchu wypadnie odpowiedź, zależy wiele, bardzo wiele.

Jeżeli odpowiemy krótko i stanowczo: *bić*, to jesteśmy ocaleni, bo odwrócimy od Rosyi dużo klęsk. Jeżeli zaś przeciwnie damy odpowiedź: *nie bić*, to ściągniemy na swe głowy liczne nieszczęścia.

Mógłby mi jednak ktoś zrobić taki zarzut: Ależ pan jesteś barbarzyńcą! Czyż uważasz rózgę za jakiś poważny środek w wychowaniu moralnem?

Najpierw przyznaję chętnie że jestem barbarzyńcą i odpowiadam: „tak, uważam rózgę za poważny środek w wychowaniu moralnem.“ Obok tego jednak dodam jeszcze poniżej kilka słów wyjaśnienia.

Przedewszystkiem nie chodzi tu o samą rózgę. Nie ona jest tutaj najważniejszą rzeczą. W ostatnich trzydziestu latach zniewieścieliśmy strasznie, straciliśmy dużo na odwadze cywilnej, w skutek czego wiele rozumnych rzeczy, o których poprzednio nietylko myśleliśmy ale wprowadzaliśmy je w życie, dzisiaj, z obawy przed jakiemiś straszkami pseudo-postępu i rzekomej opinii publicznej, nietylko nie urzeczywistniamy, ale i myśleć o nich głośno nie chcemy. Z tego źródła płyną właśnie liczne niedomagania społeczne.

Nikt nie będzie przeczył, że wielkie były reformy i dobrodziejstwa ubiegłego panowania dla tych, którzy z pożytkiem z nich korzystać mogli. Nie należy jednak zapominać, że nie każde dzieło ludzkie ma pewne niedostatki, że

tedy wielkie były reformy, ale równie wielkie ich błędy.

Do rzędu błędów każdy zdrowo myślący i prawdomówny człowiek ruski musi zaliczyć zniesienie cielesnej kary, jako reformę nieodpowiadającą bynajmniej poziomowi umysłowemu tych, do których się odnosiła, a tem samem jako przyczynę bardzo wielu klęsk dla ludu. Odtąd upłynęło lat 30. Dokądkolwiek zwrócimy teraz swe kroki, we wszystkich bezwzględnie zakątkach rozległej ojczyzny, lud prosty błaga jak o dobrodziejstwo: przywróćcie rózgi, bo niema hamulca na występki i na wsi żyć trudno!

Ponieważ jednak, jak się rzekło, jesteśmy dziś niewieściuchami, więc zamiast uwzględnić poprostu tę istotną potrzebę naszego ludu, lękamy się i wołamy z oburzeniem: jakto! przywrócić rózgę! okropność! nie można; coby na to powiedziała Europa, coby na to powiedziały gazety i radcy tajni pod wodzą p. Stasiulewicza?

A wielkie stąd mogą wyniknąć nieszczęścia; jeżeli dzisiaj ze strachu przed radcą tajnym Stasiulewiczem nie zdecydujemy się na wprowadzenie chłosty tam, gdzie jest potrzebna i gdzie może przynieść najlepsze skutki, to prędzej czy później, a może nawet bardzo rychło, będziemy mieli do czynienia z tą smutną koniecznością, że rózgi zmuszeni będziemy zastąpić egzekucyami wojskowemi i po tych szczeblach dojdziemy do kar najsurowszych, najcięższych.

Jeżeli zaś przyznamy się do błędu i powiemy sobie otwarcie, że tysiąc razy lepiej powrócić do rózgi, niż pozwalać na krzewienie się demoralizacyi w warstwach nieoświeconych, co w następstwie sprowadza straszne kary zarówno na winnych jak i niewinnych, w takim razie byłby to ważny moment w naszej historyi.

Przekonany też jestem, że gdyby pewni nasi nieznośni krzykacze liberalni w swoim czasie doświadczali na swej skórze tych rózg, na które dzisiaj się tak oburzają, to byliby o wiele, o wiele rozumniejsi i pożyteczniejsi dla państwa, które najgorzej wychodzi na ich działalności."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Znaczną kradzież książek, wydanych przez *Prawdę* i Spółkę Nakładową, popełniono w składzie naszym. Złodziej sprzedał je bądź przekupniom warszawskim, bądź prowincyonalnym. Prosimy panów księgarzów, ażeby na ten fakt zwrócili uwagę, a jednocześnie dziękujemy p. Kempnerowi, księgarzowi z Płocka za uwiadomienie nas o bytności złodzieja w tem mieście, jako też za przysłanie nam jego własnoręcznego spisu.

Trybunał sądowy lwowski uwolnił od odpowiedzialności Cichockiego, oskarżonego o publiczne obicie redaktora *Przeglądu*, p. Masłowskiego, za artykuły znieważające społeczeństwo polskie.

Szkoły. Właściciele prywatnych zakładów naukowych w Warszawie otrzymali polecenie: 1) aby przyjmowanie nowych uczniów odbywało się na zasadzie egzaminu z języka ruskiego, złożonego przed właściwym nauczycielem; 2) aby uczniów prawosławnych przyjmowano jedynie za wiedzą i pozwoleniem inspektora szkół m. Warszawy; 3) aby przed 13 września r. b. złożono inspektorowi listę nauczycieli, mających wykładać w danej szkole w r. 1888—1889, tudzież przyjętych uczniów wyznania prawosławnego; 4) aby przed 1 listopada r. b. złożyć plan nauk i listę uczniów. Egzaminy w powyższych zakładach zaczną się: w sześcio i pięcioklasowych 14 maja, w czteroklasowych 1 czerwca, dwuklasowych 6 czerwca, jednoklasowych — 13 czerwca.

— Program szkół felczerskich ma być znacznie rozszerzony, nadto ustanowione będą dwa rodzaje tych zakładów: felczerów i pomocników felczerskich. Kurs szkoły felczerskiej ma być czteroletni, niezależnie od praktyki uczniowskiej. W programie położono szczególny nacisk na znajomość anatomii i dokonywania drobniejszych operacyj tam, gdzie niema lekarza i chirurga, lub gdzie zależy na pośpiechu. Szkoły z powyższym zakresem oprócz Warszawy, otwarte będą w Kaliszu i Lublinie.

— *Nowosti* donoszą, iż na najbliższem posiedzeniu Rady państwa czytany będzie projekt o szkołach niższych leśnictwa. Ma być otwartych dziesięć szkół konduktorów przy wzorowych leśnictwach. Do zakładów tych przyjmowani będą młodzi ludzie od 16 do 18 lat wieku ze świadectwem z dwóch klas lub ukończenia szkoły powiatowej. Kurs dwuletni. Dyrektorem zakładu i nauczycielem przedmiotów specyalnych będzie sam leśniczy, nadto dwaj pomocnicy i nauczyciel religii. Liczba słuchaczów nie może przewyższać 15. Wykład przeważnie praktyczny. Kończący szkołę nie otrzymują stopnia, lecz korzystają z tytułu konduktora i zaliczają się do klasy XIV, kategoryi pensyi — XIX.

Asekuracya. Zbiór praw i postanowień rządowych przepisuje, aby obowiązek ubezpieczania budynków skarbowych, znajdujących się w posiadaniu dzierżawnem, ciążył na dzierżawcy.

Wystawa inwentarza. Komisya tegoroczej wystawy inwentarza uzyskała pozwolenie na przyjmowanie okazów z działu drobnego przemysłu po za konkursem. Termin składania deklaracyj dla wszystkich działów kończy się 15 maja.

Prezesi sądów, a w departamentach kasacyjnych ober-prokurator, w razie roztrwonienia przez komisarzy sądowych pieniędzy deponowanych, obowiązani są bezzwłocznie przedsiębrać środki ku zabezpieczeniu sum roztrwonionych, przez ostrzeżenie na majątkach nieruchomych lub dokonanie zajęcia wszelkich ruchomości. Jednocześnie sprawa przesłana być winna do właściwej izby sądowej.

Z Uniwersytetu. Prof. hygieny i policyi lekarskiej w uniwersytecie warszawskim, dr. Kowalkowskij, ma zamiar (donosi *Kur. warsz.*) wnieść projekt na sesyi wydziałowej o przeniesienie wykładu hygieny z kursu IV na III medycyny, zamiast chorób nerwowych, których wykłady, z powodu śmierci prywat-docenta Pasternackiego od roku już są zawieszone.

Pełnomocnictwo notaryalne. Senat rządzący wyjaśnił w ostatnich czasach, że przelew każdego pełnomocnictwa może być uskuteczniony tylko na mocy oddzielnego upoważnienia do działania. Jeśli jednak pełnomocnik posiada kilka plenipotencyj od kilku osób do działania w jednej sprawie i w tym samym zakresie, to może przelać pełnomocnictwo na inną osobę na mocy jednej ogólnej plenipotencyi za opłatą zwykłego stempla od ilości arkuszy, na których upoważnienie spisano, ale bez opłaty 80 kop. od wpływających do plenipotencyi osób. Rozporządzenie powyższe wydano z tej przyczyny, iż w praktyce notaryalnej sporna była dotychczas kwestya, czy rejent na żądanie pełnomocnika posiadającego plenipotencye kilku osób, może poświadczyć jedno ogólne upoważnienie do działania, wydawane przez pełnomocnika komubądź w sprawie swoich mandataryuszów, za opłatą jednego 80-kopiejkowego stempla, czy też winien wydać tyle plenipotencyj, ilu było mandataryuszów i od każdego żądać opłaty stempla?

Ogłoszono Najwyżej zatwierdzoną opinię Rady państwa o stosowaniu trzeciego departamentu senatu rządzącego.

Pensye żołnierzy. Na zapytanie pewnej izby skarbowej senat wyjaśnił, iż na pensyę żołnierzy dymisyonowanych, wynoszącą 3 rs. miesięcznie, nie może być nakładany areszt za długi.

Warsztaty rzemieślnicze. *Izraelita* donosi, iż zarząd stowarzyszenia wzajemnej pomocy subjektów handlowych wyznania mojżeszowego z uwagi, że młodzież żydowska kształci się głównie w kierunku handlowym, a z powodu obecnej stagnacyi nie znajduje miejsc odpowiednich w handlach i kantorach, zwrócił się do prezydenta m. Warszawy z prośbą o pozwolenie otwarcia warsztatów rzemieślniczych przy zgromadzeniu subjektów handlowych. Na początek projektowane są warsztaty do nauki stolarstwa, rzeźb na drzewie i tokarstwa. Niektórzy z członków stowarzyszenia podjęli się otworzyć warsztaty własnym kosztem. Pierwszeństwo w korzystaniu z nauk mieć będą dzieci i rodzeństwo stowarzyszonych.

W kantorze Banku państwa w Warszawie wykryto nadużycie. Pomocnik kasyera, odbierający z poczty pieniądze, przywłaszczył sobie, o ile dotąd obliczono, przeszło 4,000 rs. i przez pewien czas potrafił to ukrywać przed władzą.

Tyfus plamisty, jak donosi *Gaz. lekarska*, panuje obecnie, szczególnie między ubogą warstwą ludności żydowskiej. Najwięcej przypadków w szpitalu starozakonnych, gdzie nawet inni chorzy zapadają na to cierpienie. Zaraziło się trzech młodych lekarzy tam pracujących. Do ambulatoryum szpitala dla dzieci starozakonnych przy ul. Śliskiej przybywa mnóstwo chorych na tyfus plamisty. W szpitalu Wolskim i Dzieciątka Jezus zdarzają się wypadki tej choroby.

Spadek po ks. Wittgensteinie. Podług *St. Pet. Harolda* Marya ks. Hohenlohe przelała prawo do spadku po Piotrze ks. Wittgensteinie na swego syna, który ma przyjąć poddaństwo ruskie.

Spółka owocarska pod nazwą „Warszawskie stowarzyszenie sprzedaży owoców" zawiązała się nareszcie. Zadaniem jej nie jest wyłącznie interes handlowy, lecz przeważnie podtrzymywanie rozwoju sadownictwa krajowego przez ułatwianie zbytu owoców, szczególnie tym właścicielom sadów, którzy mieszkają dalej od rynków. Spółka prowadzić będzie tylko interes hurtowy, czyli głównie pośredniczyć między wytwórcą a większym nabywcą. Zarząd więc postanowił nabywać owoce po cenach targowych, odtrącając mały procent na rzecz swego stowarzyszenia. Wytwórcy wchodzący w układy ze spółką, winni koniecznie uczynić zadość warunkom dobrego zbioru, opakowania i przesyłki owoców. Odpowiednie wskazówki znajdą w drukowanej i na żądanie bezpłatnie wysyłanej instrukcyi.

Koleje pruskie rozesłały zawiadomienie do tutejszych zarządów dróg, iż komunikacya przerwana z powodu wylewów, obecnie zupełnie już przywrócona. To samo na drogach w Cesarstwie.

Zapisy. W Korsuniu zmarł b. docent uniwersytetu charkowskiego, Bolesław Liwski, pisujący pod pseudonimem Bolesława z nad Dniepru. Nieboszczyk porobił dobroczynne i naukowe zapisy, między innymi obdarował literatów, dziennikarzy, których nie znał osobiście.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. W. Mazur. I ten projekt podano w prasie i parlamencie niemieckim. W literaturze zaś wyczerpano sprawę bardzo gruntownie.

Sławomirowi. Wątpimy, czy krótka odpowiedź na tem miejscu zaspokoi ciekawość Pańską, jeśli tego nie zdołał uczynić utwór obszerny. Chodzi o to, że każde działanie z pobudek miłości bliźniego wywołuje w obrażonych interesach samolubstwa odpór i zemstę, dopóki nie zdoła ogarnąć koła dostarczającego mu sił do walki. Człowiek nie jest swobodny nawet w kierunku swych poświęceń dla innych. Wszelki, jak i ten, wysiłek jednostkowy, musi kończyć się ofiarą, do której bezwiednie pomagają nawet obdarzeni jego dobrem. R. i A. nie przypuszczają tego i mylą się.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

20 kop. W oprawie k. 25. Zbiorek ten zawiera artykuliki treści również przyrodniczej, moralnej i społecznej i stanowi niejako wyższy stopień książki poprzedniej. Może być czytaną przez starszą młodzież i dorosłych. Książkę zdobią 2 mapy i 30 rysunków. **3. Pogadanki o niebie i ziemi.** Z 3-ma obrazkami przerobił z oryginału H. W. (Chwilowo wyczerpane) kop. 10. W popularnem i wesołem opowiadaniu chłopca wiejskiego zawarty jest tutaj krótki rys najważniejszych zjawisk astronomicznych. **4. O owadach szkodliwych i pożytecznych w gospodarstwie.** Spolszczył W. Olszewski z 24 rysunkami kop. 10. Obejmuje krótki rys życia, obyczajów i stosunku do gospodarstwa rolnego najważniejszych żuków krajowych. **5. Maszyny parowe i Koleje żelazne.** Przez W. Olszewskiego, z portretem Stefensona, mapką kolei w Królestwie Polskiem i wielu rysunkami k. 10. Po wstępie, wyjaśniającym wogóle znaczenie maszyn jako pomocnika w pracy ludzkiej, podaną jest krótka historya wynalezienia i stopniowego ulepszenia maszyny parowej i parowozu, oraz życiorys Stefensona. **6. Nauka rachunków dla samouków.** P. S. Różańskiego. Jest to nauka liczenia ustnego i piśmiennego, oraz czterech działań, z licznemi zadaniami, zastosowanemi do życia wieśniaka k. 15. **7. Co robić aby być zdrowym i długo żyć?** P. J. Zielczaka z 2-ma rysunkami k. 10. Jest to króciutki zbiór najważniejszych przepisów hygieny. **8. Co robić, gdy kto zachoruje?** P. J. Zielczaka z 2-ma rysunkami k. 5. Książka ta zawiera krótkie rady niesienia choremu pomocy przed przybyciem lekarza. **5. Stara Baśń.** Z powieści J. I. Kraszewskiego skróciła F. M. kop. 10. **10. Kuźma Jeż.** Z powieści T. T. Jeża „Historya o pra-pradziadku“ skróciła F. M. k. 10. **11. O Rolę.** Obrazek obyczajowy W. Marrené-Morzkowskiej k. 6. **12. Prawdziwa historya o Szymku parobku i Zofce Pawelcównej.** Obrazek obyczajowy p. Antoszkę k. 5. **13. Bandoska.** Obrazek obyczajowy p. W. Olszewskiego k. 10. **14. Snopek.** Książka dla dzieci wiejskich p. R. M. Jest to zbiór artykulików, wierszy etc., dających dziecku stopniowe pojęcie o jego otoczeniu, zaczynając od samego siebie i chaty rodzinnej, a kończąc na tem, co widzi na niebie. (Wkrótce wyjdzie z druku). **15. Pan Adwokat.** Z powieści p. El. Orzeszkowej: „Niziny“ (wkrótce wyjdzie z druku). **16. Sprawa o wóz** czyli historya o jednym wójcie i jego pisarzu. Opowiedziana przez W. Olszewskiego (wkrótce wyjdzie z druku).

UWAGA. Numera 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 14 mogą być używane do nauki zarówno przez dzieci włościańskie jak i przez wszelkie inne.

Wydawnictwa „Prawdy.“

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**

Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50

„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . . . „ 1 „ 50

„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . „ 1 „ 50

„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

4) L. Liard: **Logika** . . . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.

Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.

Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w oprawie) . . . . rs. 2 k. —

„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne**: czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.

Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.

Cena . . . . rs. 4 k. —

„ dla abonentow *Prawdy* „ 3 „ —

z przesyłką pocztową „ 3 „ 50

Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . . „ 1 „ —

11) — **O życie**, powiastki: Cha-wa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

UWAGA. Abonenci, którzy prenumerowali *Prawdę* przez **cały** r. 1887, otrzymali w grudniu dodatek nadzwyczajny, pierwszą część (25 arkuszy druku) dzieła **Historya wieku XIX**; ci zaś, którzy będą prenumeratorami przez półrocze pierwsze roku obecnego, otrzymają w czerwcu resztę tegoż dzieła (ark. 15).

BYRON

w urywkach ułożonych przez N. Hirszbanda.

Cena rs. 1 k. 20., z przesyłką pocztową rs. 1 k. 35.

Otrzymaliśmy nieliczną resztę egzemplarzy dramatu W. Okońskiego

NIEWINNI

i sprzedajemy po k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dzieło prof. L. Gumplowicza

SYSTEM SOCYOLOGII

wyszło z druku i kosztuje obecnie rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 60.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Апрѣля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.